This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

891.858
W688
ne

A 471833

Digitized by Google

PROPERTY OF
The University of Michigan Libraries
1817
ARTES SCIENTIA VERITAS

Digitized by Google

Digitized by Google

(Lancz)

PAULINA WILKOŃSKA.

NA DWÓCH KRAŃCACH.

POWIEŚĆ.

LWÓW.
NAKŁAD WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI POWIEŚCI I ROMANSÓW."
Czcionkami Kornela Pillera.
Główny skład w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie
przy placu św. Ducha l. 10.
1873.

Digitized by Google

891.858
W688ne

Digitized by Google

61- 376725

I.

Dzień piękny, czerwcowy zniżał się do zachodu, rozsełając zróżowione promienie słoneczne po pogodnym błękicie.

Na drodze wijącej się płowo wśród pól zielonych, równo usłanych — lekka turkotała bryczka, dwoma bułankami ciągniona, które parobczak w dreliszku pasiatym popędzał.

Na wygodnem usłaniu, kilimkiem okrytem, siedział ksiądz proboszcz Zagrzębski z Runowa: postać wysoka, chudawa, oponą płócienną obrzucona, w czapeczce granatowej z rydelkiem, z pod której kosmyki siwych wymykały się włosów. Twarz rysów wydatnych, koścista, z orlim nosem, mocno śniada, jawiła wyraz poczciwości i serdecznej dobroci. W ręku trzymał chustkę czerwoną bawełnianą i srebrną tabakierkę, z której raz po raz brunatną dobywał szczyptę.

Obejrzał się na lewo — na wioskę Żurawin, malowniczo w zieloną dolinę rzuconą: dworek biały,

Digitized by Google

nieduży, niby uśmiechał się przyjemno, świecącemi od zachodnich promieni oknami. Poza dworkiem wystrzeliły drzewa, rozrosłe w gaik. Gumna bielały wśród topoli — a dla uzupełnienia obrazu, pociągnęły chaty wieśniacze z kominami białemi.

W tem, wśród pola, miedzą pomiędzy łanem pszenicy, a zasłanem obszarem ciemno-zielonym liściem ziemniaków — pędził młody jeździec na gniadym, rączym wierzchowcu. Popielatą miał katankę, a kapelusz słomkowy z szafirową wstążką. Lica świeże, ogorzałe, kształtnych rysów, niemal czarny znaczył wąsik. Ciemne oczy śledziły turkoczący wózek.

— Hej! stój! proboszczu kochany! — zawołał, a głos dźwięczny w cichem rozległ się polu.

— Zatrzymaj się, Bartku, bo ot pan Drogomirski nas goni — wymówił proboszcz i ku jeźdźcowi czerwoną powiał chustką.

Bryczulka przystanęła. Gniady rów przesadził i już był przy niej.

— Proboszczu kochany, to wcale nie przykładnie, mijać tak nieuczciwie Żurawin! — wymówił młody, całując go w ramię.

— Kochany, jedyny mój panie Arnołdzie! — przycisnął go sędziwy kapłan do piersi. — Wiesz przecie, że ciebie serdecznie szacuję i kocham. Ale Bóg widzi, spieszno mi do domu, bo stary Grzela bardzo jest chory, a musiałem sam za sprawunkami do miasteczka pojechać. Ale nie byłbym ciebie i zastał, mój drogi paniczu, o czem wiedziałem: pilnujesz zagonu i nie próżnujesz nigdy.

Digitized by Google

— Byłem przy kosiarzach. Poznałem bułanki i pospieszyłem, by księdzu proboszczowi drogę zaskoczyć. Jakaż to prześliczna sianożęć! Jaka woń rozkoszna! Jestem upojony!

— Ot, ot, rolnik-poeta! — zaśmiał się proboszcz. — Jesteś, Bogu chwała, rozmiłowanym w swoim zawodzie.

— Kocham, zaprawdę, całą duszą tę ziemię moją, rolę, każdy kłosek i trawkę każdą.

— Otóż to! To, to! Gdybym za godzinkę tędy przejeżdżał i panem swojego był czasu, wstąpiłbym chętnie. I zastałbym ciebie przed dworkiem — nieprawdaż? — z gazetą w ręku lub książką, z wiernym u stóp twoich Dalutem. Wypilibyśmy pospołu herbatkę, zapalili cygarko i pogadali sobie od serca o tem i o owem.

— To i kiedyż czeka mnie ta przyjemność, kochany proboszczu? . . . .

— Już to ja sobie chwilkę upatrzę sposobną. Ale, czemuż to pan Arnold ani zajrzy do Runowa? — uśmiechnął się starzec znacząco i ręką z czerwoną chustką i tabakierką machnął w stronę, gdzie w oddali na błękicie jakieś wśród drzew rysowały się mury.

Nagła krasa na twarz młodego wionęła.

— Przecie pan Arnold Drogomirski miłym tam jest gościem... — dodał proboszcz ciszej.

Młody z lekka westchnął i odrzekł:

— Trzymam się nauki: „Ostrożnie z ogniem!“ — rzewny odcień uwidomił się w jego ciemnem oku.

— Cóż znowu! Mówię ci, panie Arnoldzie, żeś chętnie widziany...

Digitized by Google

— Za wysokie to progi pod moje chudopacholskie nogi.

— *Audaces fortuna juvat!*

— Po naszemu: śmiałków psy kąsają, proboszczu! — uśmiechnął się Arnold smętnie i westchnął.

— *Nihil desperandum?*

— Po cóż sobie serce rozkrwawiać?

— Przyjedź! Mówię ci, przyjedź! A teraz Panu Bogu oddaję.

Uścisnęli się.

Bryczulka poturkotała ku Runowa. Arnold zwolna pokierował Maćka przez ugór, gdzie fornal srokatą czwórką radłem zawodził. Zagadał do niego. Objechał pole — i na niedalekiem przystanął wzgórzu. Wózek proboszcza wśród drzew po nad drogą, płowy znaczył obłoczek. Popatrzył za nim — ku murom na błękicie zarysowanym. Zwrócił nagle — kłusem znowu kawał pola objechał. A potem zwolna ku Żurawinowi zmierzał.

Słońce tymczasem całkiem poza ciemnym smugiem lasu zniknęło — zostawiając poza sobą cudne purpury i fiolety.

Arnold spojrzał na swój biały dworek.

— Samotność! I zawsze samotność! — westchnął sobie w duszy — nikt mnie tam nie czeka, nikt nie wygląda! Niemasz do kogo przemówić... Gdybym miał ojca... gdyby czekała mnie matka... wybiegła na spotkanie siostra... brat... Ale, pustki i pustki!... Obraz jej może na zawsze w mojem wyrył się sercu, lecz ona nie dla mnie!... Więc precz z tą myślą!... Nie chcę złudzenia!... zawodu!... upokorzenia!... Precz z wdzięcznym obrazem!... Precz z czarem!... Boże, daj

Digitized by Google

myśl swobodną i pracę! — westchnął. — Dalej-że do samotności!... Pod własny dach ukochany!... Precz tęsknota!... Książki dadzą rozrywkę!... — szarpnął za lejce. — Dalej-że Maćku do domu! — wspiął ostrogi.

Gniady ochoczo domowym szlakiem pogonił.

W tej chwili zadźwiękła trąbka ekstrapocztowa: z dziedzińca wyjechała taradajka, zakręciła szybko przez wieś ku zwirówce — i zniknęła poza drzewami.

— Gość jakiś niespodziany... nieproszony może, a niebezpieczny! — poszepnął sobie Arnold w duszy, i znowu Maćka wspiął ostrogą.

Ten uskoczył... i padł z nim nagle — nie wiedzieć wcale z jakiej przyczyny.

Arnold powstał. Podźwignął ulubieńca, który zarżał żałośnie. Obejrzał czyli nie zakaleczał — ale nic mu nie było. Tylko zarżał znowu, a jeszcze lękliwiej.

— Gdybym był zabobonnym, sądziłbym, że to jest jakieś złe *omen!* — poszepnął sobie młody w duszy, podnosząc kapelusz słomkowy, który o kilka odleciał kroków.

— Kogoż mi tam ta ekstrapoczta przywiozła? — poklepał gniadego i pogłaskał — dosiadł i puścił się truchtem.

Przed dworkiem przechadzał się wysoki, przystojny młody mężczyzna, z dużym, ciemnym zarostem i brodą — w eleganckiem, podróżnem, siwawowego koloru ubraniu, z pąsowem na szyi wiązaniem. W ręce, w duńskiej rękawiczce o trzech guzikach, trzymał cygaro, z którego raz po raz wonny przez zęby wypuszczał dymek.

Digitized by Google

Arnold wjechał we wrota — zobaczył gościa — zeskoczył z konia — biegł ku niemu, wołając:

— Zdzisiu! — i rzucił mu się na szyję.

— Kochany Arnoldku! — wymówił tamten — otóż zrobiłem ci niespodziankę.

— Bóg zapłać za nią, braciszku drogi! O dobrze, jakże dobrze, żeś powrócił!... Od tak dawna nie pisałeś, niepoczciwy!

— Bom wybierał się przyjechać.

Przed dworkiem pod wystawą stała piękna waliza — istnie zagraniczny wyrób — kuferek w mosiądz okuty, prześliczny i t. d.

— To twoje rzeczy? — Jasiu! — zawołał Arnold na pokojowczyka w dreliszku z kołnierzem zielonym — zanieście te rzeczy do pokoju żółtego przy moim sypialnym. Potem zaraz samowar! A Ignasińska niechaj dobrą kolację obmyśli.

— Chodź mój Zdzisiu!

Arnold wziął brata pod rękę i wprowadził go do pokoju.

Były tam dwie kanapki i tuzin krzeseł, pokrytych włosiennicą czarną, z mosiężnemi gwoździkami. Zielone firanki u okien, przy obiciu ściany perłowego koloru. Szafa z książkami, na niej duże bronzowane Adama popiersie. Zwierciadło w ciemnych ramach pomiędzy oknami z marmurową konsolką. Parę obrazów: *Hab' Dank* Lessera w mniejszym formacie, dwie akwarelle Kossaka i kilka ładnych sztychów. Stolik przed kanapą barwny przysłaniał dywanik; na drugim, przed drugą kanapką, leżały pisma czasowe i gazety.

Digitized by Google

Drugi pokój, mniejszy, od ogrodu, był sypialnią Arnolda. Nad łóżkiem amarantową okrytem kołdrą z poduszką safianową zieloną, wisiał piękny obraz olejny, głowa Chrystusa — i miniatury rodziców w złoconych ramach. A z boku, na szafirowem suknie, fuzja arcypięknego wyrobu. Przy łóżku rozpostarto jelenią skórę.

— Urządziłeś się nie źle — wymówił Zdzisław — skromnie, choć dość elegancko. Ależ to maleństwo ten twój Żurawin.

— Obwiozę cię jutro, pokażę wszystko.

— A! — Zdzisław rzucił się na jednę z kanapek i ziewnął — znużyłem się niepomiernie. Proszę cię, daj ognia do świeżego cygara.

Arnold podał mu zapałki.

Jaś wniósł butelkę wina na żółtej tacy i pierniczki jakieś.

— Wolałbym szklankę selterskiej wody — skrzywił się Zdzisław.

— Nie mam, Zdzisiu kochany. Jutro każę przywieźć z miasteczka. Ale jest dobra studzienna. Poskocz Jasiu po świeżą.

— Niechże i tak będzie! — Zdzisław otrząsł z elegancją cygaro.

Jaś pobiegł z karafką. Arnold nalał dwa kieliszki winem.

— Przybycia twojego, braciszku kochany! — wymówił, podnosząc jeden i wypił go duszkiem.

— Dziękuję ci! — Zdzisław kilka kropel wypił. Ale znać wino było dobre, bo zaraz i resztę wychylił.

Digitized by Google

Jaś przyniósł na drugiej tacy karafkę z wodą i szklanki. Lecz pozostała nietkniętą.

— Więc tobie powodzi się dobrze? — zagadał Zdzisław, gdy chłopiec wyszedł.

— Starczy .mi. Jestem zadowolony i chwalę Boga. Tęskno mi tylko niekiedy, lecz skoro przyjechałeś, to i tęsknić nie będę.

— Chciałbym jaki majątek w twojem nabyć sąsiedztwie.

— Majątek?

— Tak. Będę miał gotówki do sto pięćdziesięciu tysięcy rubli.

— Aż tyle! — porwał się Arnold i zdziwonemi na niego popatrzył oczyma.

— Powiodło mi się na giełdzie. Mam kapitały na różnych bankach. Z sobą przywiozłem tylko dwadzieścia tysięcy franków. Mam je przy sobie, a musisz mi je w swojem przechować biurku.

— Bardzo chętnie. Mam doskonałą szafkę w mojej sypialni. Jakżem szczęśliwy, jakże Bogu dziękuję, że tobie tak wszystko sprzyjało! — zawołał Arnold z rozpromienionem obliczem.

— Dosyć! — uśmiechnął się Zdzisław i znowu cygaro otrząsnął.

— Mówisz d o s y ć, a to przecież jest znaczny majątek, zwłaszcza tu u nas i w tych czasach.

— Przydałoby się więcej, lecz jestem zadowolony.

— Zawsześ pragnął majątku, i chwała Bogu, że twoje spełniły się życzenia! Moje marzenia były skromniejsze.

— Myślałc ·, że ciebie już ożenionym zastanę i całkiem zobywatelniałym, tatusiem!

Digitized by Google

Nagła chmurka wionęła na młudzieńcze czoło Arnolda i ciche stłumił westchnienie.

— A co?

— Potem o tem.

— Ja bo ożenię się zaraz. *Il faut faire une fin.* A ożenię się bogato, zobaczysz!

Jaś oznajmił, że samowar czeka i kolacja na stole.

Arnold poprowadził brata na drugą stronę dworku, do skromnej salki jadalnej. Był tam kredens tylko, szafy jakieś i krzesła wyplatane trzciną — a przy oknach perkalikowe firanki.

Herbata, pieczone kurczęta, sałata, wyborny chleb wiejski, sér i świeże masło panu Zdzisławowi smakowały wybornie.

Przytem opowiadał bratu o Paryżu, o różnych wykwintach życia — o szczęściu, które wszędzie za nim goniło i o szczególnem powodzeniu w salonach.

— *Mais il faut faire une fin* — zakończył — zatem wróciłem: okupię się, zobywatelnieję, zeszlachcę się, spolszczę się znowu, będę siał grykę, sadził ziemniaki i ożenić się muszę... ale z milionami. Nie nadarmo żyłem!

Arnold na to dobrodusznie się rozśmiał.

Digitized by Google

II.

Zdzisław był starszym od Arnolda o lat cztery.

Ojciec, pan Wincenty Drogomirski, zarówno synów swoich kochał. Matka jednakże rozmiłowała się aż do szaleństwa w Zdzisiu, który na zawsze jej faworytem pozostał. Przez lat cztery był jedynakiem, a ślicznem chłopięciem. Psuła go też o tyle, o ile niedorzeczna matka, na nic nie oględna, wypieszczonego gagatka psuć może. Przyganiał temu nieraz rozsądny ojciec — lecz nieraz tylko, bo za nadto kochał żonę, za nadto w niej macierzyńskie uwielbiał uczucie, za nadto był miękkiej natury — a wreszcie, bo i nie wiedział o wszystkiem co się działo.

Zdziś czyli Dzidzi śliczne zawsze nosił sukienki — kosztowne nawet. Ale pan Drogomirski nie wiedział nigdy prawdy ile kosztują. Żona, mimo jego wiedzy, przyjęła jedynakowi bonę francuzką, z którą pospołu — ile że *madame Lutin* łaskę pani domu pozyskać pragnęła — pieszczocha do reszty popsuły.

Digitized by Google

Pan Drogomirski z początku był nierad bardzo Francuzce — ale nie sprzeciwiał się żonie.

Z Warszawy przychodziły dla Zdzisia najwykwintniejsze cukry, pomarańczę, jabłka tyrolskie i przeróżne zabawki kosztowne.

Mama nauczyła Zdzisia wprawdzie pacierza — po części i dla popisu przed gośćmi — ale bynajmniej o to nie dbała, by pieszczoch zmawiał go regularnie: bo Dzidzi często był zbyt znużony i spiący. — albo też i po prostu pacierza mu się mówić nie chciało. Czasem nawet i dobry cukierek nie pomógł — bo cukierki dlań nowalją nie były. — Więc mu mama kazała dać spokój — bo i po cóż było męczyć dziecko?

Urodził się syn drugi — a pani Drogomirska byłaby córeczkę wolała.

Lubiła szczególnie dwa męzkie imiona — i przez jakąś fantazję oryginalności, dawszy starszemu obadwa: Zdzisław-Arnold — młodszego Arnold-Zdzisław ochrzcić kazała. Małżonek jej z uśmiechem powtarzał:

— Uwielbiała dwóch bohaterów książkowych, a imiona ich synom nadała.

Ale, mimo tych imion ulubionych, Arnoldek — niestety! — niby matce zawadzał — bo Dzidzi jedynakiem już nie był! Bo z Dzidziem dzielił pieszczoty — i majątek podzieli! — I na zawsze małemu intrusowi pozostała niechętną.

Zdzisia strojono w jedwabie i aksamity. Dla Arnoldka było płócienko i kamlot tani. A jeszcze łajała mama i Francuzka, że brudzi i niszczy sukienki. Dzidzi po wszystkich rozkładał się kanapach — Arnoldek by

Digitized by Google

rzadkim w pokojach gościem. Madame Lutin ani zapytała kiedy o Arnoldka; i służba cała, przez pochlebstwo dla pani, dworowała paniczowi starszemu — brykając na malca. Jedna tylko Nastusia, piastunka małego, kochała go serdecznie. Strasznie też na wszystkich sarkała, że i samej pani dostało się niekiedy, jako matce niesprawiedliwej.

Gdy przyszedł czas nauki, Zdziś nauczył się czytać po francuzku, nie umiejąc jednej sylaby polskiej. Co wreszcie ojca dobodło. Pogniewał się raz na dobre — i zgodził organistę z pobliskiego miasteczka, po którego każdodziennie posełano jednokonkę — by panicza czytać i pisać po polsku nauczył. Pani Drogomirska dbała o dobro synka, częstemi darzyła nauczyciela podarunkami: to piękną kamizelką, to modnym krawatem, wreszcie suknem na paletot — by tylko gagatka oszczędzał. To też pan Pedalski chwalił pana Zdzisława nad miarę ze zdolności wielkich — i że bardzo jest pilnym. Nauczył go na pamięć parę bajek poślednich — z czego mama aż dumną była.

Zdziś podrastając — znać z nudów — różne a częste miewał zachcianki. Zapragnął kucyka — więc mama nie tylko kucyka, ale i wózek mu kupiła, by Dzidzi z kucyka nie spadł. Jeździł nim najczęściej sam panicz po pana Pedalskiego, a powoził go stangret albo lokaj. I otóż w miasteczku zawsze coś należało się kupić, ztąd i pieniędzy potrzeba. To też mama dawała znowu, ale zawsze w tajemnicy przed ojcem.

Grywała z synkiem w n o s k a albo m a r j a s z a, zwłaszcza gdy na główkę narzekał, co zdarzało się często:

Digitized by Google

grywała o pieniądze i przegrywała umyślnie, chwaląc przytem bystrość chłopięcia. Potem zdarzało się, że bystre chłopię mamę i oszukiwać poczęło... co rzeczywiście większej jeszcze bystrości dowodziło umysłu — a z czego mama pośmiała się znowu.

Gdy Dzidzi skończył lat dziesięć, przyjął mu ojciec nauczyciela. A madame Lutin inne znalazła miejsce, może znowu przy jakim jedynaku — i pożegnała Gorzeliska. Nauczyła wszelako parlować Zdzisia, jak gdyby francuzki jego ojczystym był językiem, co wielce panią Drogomirską cieszyło. Lękała się tylko, by go nie zapomniał — i dla tego dawała mu różne francuzkie zabawne książki do czytania.

Arnoldek także już na dobre uczyć się zaczął — choć jedynakiem i faworytem nie był.

Pan Cembilski, nauczyciel, znowu o łaskę pani domu dbały, prawił o genialnych zdolnościach pana Zdzisława. A tymczasem Arnoldek rychło nauczył się czytać, zwłaszcza, że ukochanej Nastusi — która pozostała jako praczka przy dworze — mógł nieraz modlitwę piękną przeczytać głośno. A później bajkę jaką albo powiastkę w Przyjacielu dzieci. Nastusia uradowana, ręce z podziwem nad główką paniczyka składała, łzami napłynęły jej oczy, całowała go po rączkach i nóżkach — co chłopięciu tem większego dodawało bodźca.

Dnia jednego pożyczyła Nastusia u gospodyni księdza proboszcza jakąś starą książkę z obrazkami dla panicza: był tam kościół na Jasnej Górze — wizerunki królów polskich — i różne piękne opowiadania. Arnoldek

Digitized by Google

miał już wtedy lat siedm skończonych — zrozumiał wszystko — i najszczęśliwsze były dlań chwile, w których Nastusi mógł czytać o cudownej Matce Boskiej Częstochowskiej — o Krakowie — o królu Kazimierzu Wielkim — o królowej Jadwidze i t. p. A potem marzyć o tem co przeczytał — i duszą pokochać te piękne, podniosłe postacie w koronach.

W tym samym czasie, pani Drogomirska, pragnąc w Zdzisiu jenjalną jego rozwinąć zdolność — czytywała z nim po francuzku mitologję Greków.

Sąsiedzi unosili się nad Dzidziem. Jeden wszelako zwykł mawiać: „Z tego pięknego caco, będzie wielkie ladaco.“

Gdy Dzidzi skończył lat czternaście, uznał ojciec, że domowe nie wystarcza wychowanie — i postawił na swojem, że obudwóch na pensją do profesora w Warszawie oddał.

Pani Drogomirska opierała się długo — płakała — mdlała — ale tym razem pokazał małżonek, że jest mężem.

Tęskniła strasznie i co parę tygodni na dni kilka przynajmniej do Warszawy jeździła. Na to już względny pan Wincenty patrzył przez szpary.

Za każdą bytnością ofiarowała lożę w teatrze profesorstwu. Zdzisia, naturalnie, zawsze brała z sobą — lecz Arnoldek był jeszcze z a m ł o d y. — Zdzisio ufryzowany, z wyłożonym kołnierzem batystowym, pięknie haftowanym, z najprawdziwszą koronką, w jasnych rękawiczkach — ślicznym był, gdyby Cherubin, i chwalili go wszyscy.

Digitized by Google

Następnie, po każdej bytności pani Drogomirskiej w Warszawie, płynęły do kuchni pani profesorowej: zające, sarny, indyki, kurczęta, faski z masłem, konfitury, wyśmienite sucharki wiejskie, przednia mąka i t. d., i t. d.

Zdziś podrósł, zrozumiał świat — życie i użycie — więc i częściej fryzować się kazał (chociaż mamy w Warszawie nie było) — i wymykał się do teatru, przy rozwoju coraz bujniej estetycznego poczucia. Pani profesorowa, przez zacność niewieściego serca, pobłażała chłopcu — a mąż o niczem nie wiedział niby. Dzidzi: z potrzeby zaspokojenia apetytu zaglądał do cukierni na ciastka, czokoladę, na lody — a ztąd rosły i coraz większe a konieczne i niezbędne wydatki.

Zdarzało się, gdy paniczowie w czasie świąt lub feryj w Gorzeliskach bawili — że ginęły łyżki srebrne, srebrne podstawki i t. p.

— Paniczowie roznoszą, a potem może jakie łazęgi pokradną — mówiono.

A harmider był wielki i szukanie — lecz nadaremnie.

Pan Drogomirski się gniewał i zapowiedział w końcu kredencerzowi, że mu strat tych nie daruje, wynikłych przez niedbalstwo i niedozór. To też stary Tarkiewicz strzegł odtąd kredensu gdyby oka w głowie.

W porze świąt i wakacyj, pani Drogomirska, ażeby Dzidzi nie zaniedbywał francuzkiego języka, czytywała z nim i dawała mu do czytania różne powieści i romanse — które interes genialnego chłopca zaostrzały bardzo. Wreszcie i sam je zabierał, z sekretarki

Digitized by Google

mamy — i czytywał wszystko. — A w tym samym czasie wyszukiwał sobie Arnold ze starego księgozbioru ojca: — Historję polską Bandkiego — Śpiewy historyczne Niemcewicza, Kronikę Bielskiego, Dworzanina Gornickiego, Żywot poczciwego człeka Reja z Nagłowic — Pisma Krasickiego — i kilka romansów, jako to: Pojatę Bernatowicza — Nałęcza i Zygmunta z Szamotuł Wężyka — Pana starostę Fryderyka Skarbka — i Podstolica Masalskiego. Co wszystko umysłowi jego taki nadało popęd, że za powrotem do Warszawy starał się o nowsze dzieła historyczne i z piśmiennictwa pięknego — a w chwilach wolnych od nauki, czytanie było dlań najmilszą rozrywką.

— Co tam tak czytasz? — zapytał go raz Zdzisław, zawiązując turkusowy szlipsik na szyi.

Arnold siedział pochylony nad książką, opierając o dłoń czoło, i odpowiedział:

— Syrokomlę.

— Syrokomlę? — oburzył się elegancki braciszek — czy żartujesz sobie ze mnie?

— Mówię, że czytam Syrokomli Gawędy poetyczne.

— A! I tak się ten poeta nazywa?

— Nazywa się Kondratowicz, a Syrokomla jest pseudonym jego.

— Tak-że mi gadaj!... Przecież i wiem zresztą!...

Zdzisław pochwycił za kapelusz i wybiegł.

W czasie następnych wakacyj zginął znowu świecznik srebrny, dość znacznej wartości.

Digitized by Google

— Drzwi z pokoju do sieni były otwarte i zapewne jaki ukradł go włóczęga — mówiono.

Służba jednakże coś tam sobie innego na ucho szeptała.

Zdzisław skończył lat dziewiętnaście i prześlicznym był kawalerem. Matka nadto bardzo troskliwie o jego elegancją dbała. A ileż to tam samych rękawiczek spotrzebował do roku!

Razu jednego, po św. Trzech Królach, przybył kupiec za zbożem do Gorzelisk. Kupił i wypłacił panu Drogomirskiemu przeszło ośmset rubli papierkami.

Pan Drogomirski właśnie te papierki porządkował i przeliczał, gdy go Zdzisław do matki poprosił. Pan Wincenty, zawsze nader powolny żonie, udał się do przyległego pokoju z pospiechem.

— O cóż-że chodzi, Klociu? — zapytał.

— Mówił mi Dzidzi, byśmy przejechali się sankami — odrzekła.

— Dobrze, dobrze! Z panem Bogiem! — i wrócił do swoich papierków.

Liczy — przekłada — brakuje pięćdziesięciu rubli. Szuka zaperzony... Niemasz nigdzie.

— Zdzisiu! — woła.

Zdzisia nie było, bo gdzieś tam wybiegł.

— Arnoldku! Arnoldku!

Arnold, czytajac w pokoju ojca, przybiegł natychmiast.

Digitized by Google

— Patrz-no pod kanapą, pod szafką, pod komodą... Zadział mi się gdzieś pięćdziesięcio-rublowy papierek... Spadł może...

Arnold szukać skwapliwie począł.

— Pięćdziesięcio-rublowy papierek? — zapytała pani Drogomirska, stawając we drzwiach.

— Tak jest.

— Może ten żyd nie doliczył?

— Liczyłem z nim razem...

— Pomyliłeś się, oszukał ciebie.

— Nie mogę tego przypuszczać.

— Dzieje się różnie.

Arnold szukał wszędzie: odsuwał meble, wymiatał kąciki — ale papierka nigdzie nie było.

— Poślij za tym żydem!

— Ja pojadę — ozwał się Arnold. — Każę sobie siwkę okulbaczyć.

— Jedź!

— Ale w którą on stronę pojechał?

— Ku miasteczku.

Arnold wybiegł — a w kilka chwil potem już pędził na siwce. Dogonił kupca niebawem. Ten, żżymając się, pugilares otworzył i przeliczył pieniądze swoje.

— Pozostało mi sto dwadzieścia rubli z tysiąca, które miałem, i ot ten drobiazg. Ja dobrze naliczył. Ojciec pański papierki odbierał. Jam nikogo nie oszukał jeszcze. Bądź pan zdrów. Jedź Jakóbie!

Zatem Arnold powrócił z niczem — a żywo we wnętrzu swojem dotknięty.

Digitized by Google

Za powrotem do Warszawy młodzianów, Zdzisio putał sobie więcej jeszcze jak kiedykolwiek. Przyczem i długów narobił u krawców, szewców i t. p. — które mama popłaciła cichaczem.

Zdzisław niby-to skończył gimnazjum — i począł w szkole głównej na wydział prawniczy chodzić. Należał do najpiękniejszych młodzieńców Warszawy — stroił się elegancko — bywał wszędzie — tańczył — hulał — i długi robił, że o mało nie zrujnował mamy — która wszystko przed mężem taiła.

Gdy Arnold we dwa lata później na prawdę skończył szkoły, miał lat ośmnaście — i ojciec zawiózł go na akademją rolniczą do Proszkowa.

Zdzisław ciągle słuchał prawa — przytem słuchał także czegoś innego — i flanował w modnych lakierkach po ulicach wszystkich.

Zdzisław miał lat dwadzieścia trzy — Arnold dziewiętnaście, gdy pan Drogomirski nagle umarł. Pierwszy porzucił szkołę główną. Bawił częścią w Gorzeliskach, częścią w Warszawie — i robił za granicę wycieczki. Drugi w Proszkowie pozostał.

Było to w pamiętnym roku 1861.

Digitized by Google

III.

Nastał rok 1863 — i nieszczęśliwe powstanie.

Arnold z Proszkowa do Langiewicza pospieszył. Zdzisław chorował na febrę w Gorzeliskach przy mamie.

Arnold bił się — był ranny razy parę — i zażywał biedy niemało.

Zdzisław ciągle na febrę chorował — potem na reumatyzm. Leżał na kanapie i francuzkie czytał romanse. Gdy wojsko nadciągnęło rosyjskie, czynił uprzejmie honory domu i podejmował je gościnnie, ratując Gorzeliska od kontrybucji. Nadto grywał i w karty z oficerami, ażeby ich ująć i względy dla sąsiadów pozyskać.

Arnold, ciężko ranny, pozostał zemdlony na placu boju, w skutek wielkiego krwi upływu. Litościwe żydki z sąsiedniego miasteczka nadjechały, gdy bitewna przebrzmiała wrzawa, i zabrali rannych na wozy. Dostrzegli jakąś iskierkę życia w zemdlonym Arnoldzie i podnieśli go także. Przewieźli go następnie za granicę — i został

Digitized by Google

umieszczony w jednym z lazaretów krakowskich. Wycieńczenie jego było straszliwe.

Przywieziono następnie bardzo ciężko rannego młodzieńca, którego na łóżku obok niego położono — a był to siostrzeniec proboszcza z Runowa.

Poczciwy kapłan przybył go odwiedzić — i najtroskliwszą opieką przestrzelonego razy kilka otoczył. Przytem poznał Arnolda i polubił go szczerze.

Siostrzan jego umarł po dniach kilkunastu. — A wycieńczonego Arnolda — lecz mającego wszelką wyzdrowienia nadzieję — ksiądz zacny zabrał z sobą, by go do matki odesłać.

— W otoczeniu domowem, pod troskliwą pieczą, to i rychlej przyjdziesz do siebie — powtarzał mu ciągle.

Po dniach zatem niewielu Arnold szczęśliwie stanął w Gorzeliskach. I gdy pani Drogomirska raczej cień jego, w zamian owego różowego, czerstwego, pełnego życia i uśmiechu młodziana ujrzała — po raz pierwszy macierzyńskie w niej ozwało się uczucie — czyli może sumienie — bo zapłakała.

Zdzisław ciągle jeszcze na reumatyzm chorował — i używał dziegciu.

Arnold zwolna począł do siebie przychodzić. I gdy zawitała wiosna roku 1864, a z nią i upadek powstania — Zdzisław także mniej coraz cierpiał, ale zawsze jeszcze wylegiwał na kanapach.

Arnold widząc zaniedbane gospodarstwo, chociaż słaby jeszcze, wziął się skrzętnie do nadzoru. Młodość, świeże powietrze — a może i zajęcie, w niedługim czasie

Digitized by Google

dawne wróciły mu siły i krasę. A gospodarka szła wybornie.

W rok potem pani Drogomirska umarła. Podział majątku pomiędzy braci nastąpić musiał — i upełnoletniono Arnolda.

Gorzeliska sprzedane być musiały. Pozostało czystego grosza 120.000 zł. pol. — zatem na każdego z braci przypadło 60.000.

Zdzisław oświadczył zaraz, że przy tak lichej schedzie istnieć niepodobna. Że on pragnie majątku i zdobędzie go: że pogra na giełdzie w Paryżu, mając szczęście i oględność — i majątek mieć musi. Zatem postarał się o paszport. Brata pożegnał, który wolał poprzestać na tem, co mu dała opatrzność — zabrał swój kapitalik i wyjechał. Z początku pisywał do Arnolda co kwartał, potem co pół roku — i wreszcie umilkł.

Żurawin był do sprzedania. Proboszcz z Runowa doniósł o tem Arnoldowi, chwaląc glebę tej wioski i zagospodarowanie.

Arnold pojechał z opiekunem, człowiekiem rozumnym i zacnym — obejrzeli i kupili ją za sto dziesięć tysięcy. Towarzystwa kredytowego było na niej 40.000; sumy małoletnich 30.000, wypłacalnej dopiero za lat dwanaście. Interes zatem ubity został.

Młody dziedzic rzucił się energicznie do ziemi nabytej. Pracował, żadnego nie szczędził trudu — i Bóg mu błogosławił.

Przytem baczył i na zaletę zewnętrzną włości:

Digitized by Google

kazał wszędzie żywopłoty porobić — bielić budynki, muskać — sadzić drzewka owocowe i t. p.

Przyjaciele ojca nieraz z dobrą pospieszyli radą, a proboszcz z Runowa serdeczne dlań żywił uczucie.

Młody tęsknił tylko niekiedy w samotności swojej — a teraz opatrzność zesłała mu brata.

Tęsknił, bo kochał — a sądził, że nadzieją łudzić się niepowinien.

Dziedziczka Runowa była panna Ludomiła Skaliniecka — śliczna, wykształcona, zacna, najpiękniejszych przymiotów duszy i serca. Była sierotą — i mieszkała z ciotką, panią Garbowską. Liczyła lat dwadzieścia dwa, była samowolną panią, bo opiekun — pan Tytus Działowicz, brat rodzony jej matki, nie przeszkadzał jej w niczem.

Przy regulowaniu granic dóbr runowskich, należał Arnold także do komisji wybranej, był zaproszonym przez pana Działowicza, i zrobiła się znajomość. Wypadało mu następnie być z wizytą. Dalej był dwa razy u proboszcza — i spotkał tamże pannę Ludomiłę z ciotką. A wreszcie powinszował pani Garbowskiej imienin w dzień św. Anastazji listem — i zaprosiła go na objad.

Tyle przeto razy widzieć Ludomiłę było aż nadto dosyć dla jego młodego i skorego do wrażeń serca, by zająć się śliczną dziewczyną — nawet i wbrew woli własnej. Przypuszczał, że dziedziczka rozległego klucza za wielką dla niego jest partją — zatem postanowił usunąć się całkiem — unikać uwielbianego przedmiotu — gwałt zadać sercu, przemódz męzkim hartem miękkość

Digitized by Google

uczucia — i uleczyć się pracą i skrzętnemi zabiegami około roli ukochanej.

Proboszcz pragnął serdecznie związku jego z młodą dziedziczką — którą cenił wysoko, mawiając sobie nieraz:

— Byłażby to para dobrana, była, jakich mało!

Ciągle Arnoldowi powtarzał, że tam jest bardzo mile widziany — że panna mu sprzyja — lecz młody starał się wszelką odżegnywać ułudę.

Digitized by Google

IV.

Po ogrodzie w Runowie dwie młode niewieście przechadzały się postacie: młodsza była wzrostu średniego, wysmukła, kibici wiotkiej, nadzwyczaj zgrabnej; twarzy ściągłej, drobnych wdzięcznych rysów, z cudnie wyrzeźbionym noskiem; cery świeżej, lubo nie rumianej, oczów wielkich modrych, z długą czarną rzęsą i brewką, z uśmiechem swobody na rumianych ustach, które odsłaniały ząbki, gdyby perełki. Włosy ciemne, malowniczo w grube miała ułożone zwoje, a na nich kapelusik słomkowy z pęczkiem bławatków; sukienkę białą muślinową, skromną, nader kształtnie stanik odznaczającą. — Druga starsza, była niższa, spiekła blondynka, biało-różowa, w malusim czepeczku z różową gazą, z białą parasolką w ręku.

Pierwszą była Ludomiła Skaliniecka, dziedziczka Runowa; drugą jej krewna i przyjaciółka od serca, pani Kornelia Zrębowska.

Okrążyły trawnik, skręciły w boczny chodnik —

Digitized by Google

i przystanęły pod rozłożystym kasztanem, na tarasie, u stóp którego daleka, smaragdowo-zielona rozciągała się łąka.

Na lewo, drzewami sadzona, w dolinę wiodła droga. Dalej rodzajne usłały się pola. Tu i owdzie wychylona z poza drzew wioska ładny, sielski jawiła obrazek. Na prawo młyn wodny kołatał. Pod górką obszar na różnobarwne podzielony polka: brunatnawe, majowe, rude, żółte, lub czarno-mozaikowy ziem jawiące, tworzył kobierzec — gdy w oddali ciemny pas lasu niby z błękitem się stykał.

Słońce zniżało się ku zachodowi.

— Miłko! — zagadała Kornelia po chwili milczenia, biorąc ją pod rękę — czyliż to tobie dogodzi, że Józio na czwartego lipca zaprosi Arnolda Drogomirskiego do Rudnej?

Ludomiła zróżowiała nagle, a oczy jej i usta zajaśniały uśmiechem.

— Nelciu moja — odrzekła — cóżby mnie to przeszkadzać miało?

— Nie przeszkadzać!... Ale czy tobie tem dogodzi?

— Hm! — poruszyła panna głową — pan Arnold wcale miłym jest towarzyszem. Zresztą, będziemy tańczyli u was, a on zapewne i dobrze tańczy.

— Jesteś nieszczerą! — zawołała przyjaciółka.

— Jakto? Och, Kornelko!

— Bo domyślamy się wszyscy, przeczuwamy, proboszcz nawet wyraźnie powiedział: że pan Arnold unika Runowa, ucieka, zagrzebuje się w domu, bo kocha się w tobie, a sądzi: że to za wysokie dla niego są progi.

Digitized by Google

Gdy zbliżały się do pałacu, szedł na ich spotkanie pan Józef Zrębowski, młody, przystojny obywatel, z dużym wąsem a licem ogorzałem, jak przynależy na rolnika — i proboszcz z tabakierką w ręku i czerwonym fularem.

— Witam! witam! — pobiegła ku nim Ludomiła, obiedwie panu Józefowi podając ręce. — Dobry wieczór, proboszczu kochany.

— *Laudetur*...

Mąż żonę powitał, która ujęła go pod rękę.

— A cóż tam w Warszawie nowego? — zapytała go Ludomiła.

— Zawsze stara bieda! — odrzekł z półwestchnieniem.

— Ale Warszawa taka piękna! — wtrąciła pani Garbowska.

— Piękna i kochana!

Weszli na werandę. Stały tam stoliki, fotele i krzesła — a filary maiły różne eksotyczne rośliny.

— Proszę, siadajcie państwo! — ozwała się młoda pani domu.

Rozmowa potoczyła się jeszcze o Warszawie — gdzie pan Józef przez dni parę bawił za interesem. Potem zapytał proboszcz o urodzaje widziane po drodze, i rozmowa panów przeszła na rolnicze pole.

Nazajutrz przed wieczorem pojechał pan Zrębowski z proboszczem do Żurawina, i powrócili dopiero po pierwszej godzinie z północy. Panie powrotu ich czekały — a potem udały się na spoczynek.

Digitized by Google

V.

W sypialni swojej, biało stukowanej, wyłożonej całkiem barwistym dywanem; z łóżeczkiem z zastawą białym udrapowanym muślinem; z piękną gotowalnią — i mnóstwem cacek — Ludomiła na szafirowej, wygodnej zasiadła kanapce, przerzucając świeże dzienniki warszawskie i *Independance belge.*

W tem podniesiono portjerę, i ukazała się pani Kornelia w penioarze bielutkim.

Ludomiła powstała ożywiona, uścisnęła ją na dzień dobry i posadziła przy sobie na kanapie.

— Z ciebie ranny ptaszek — zagadała pani Zrębowska — skoro już jesteś ubrana i czytasz.

— Lubię poranki... A zresztą, przecie jest już godzina ósma.

— Lecz poszłaś spać późno.

— Słyszałam nawet jak panowie wrócili.

— Ja bom już spała, i dziś dopiero zdał mi sprawę Józio z wczorajszej wizyty.

Digitized by Google

— To i co?

— Józio był bardzo zadowolony, bo wybornie się bawili. A wrócił także z Paryża brat pana Arnolda.

— Kiedy?

— Od dni trzech dopiero. Piękny, elegancki, Paryżanin, i bardzo miły. Tysiące opowiadał im rzeczy, a zajmująco nadzwyczaj. Pan Arnold przyjął zaproszenie do Runowa... ale niby nieco pomięszany, jakkolwiek z rumieńcem na licu. A proboszcz twierdzi, że to było zapłonienie radości. Pan Zdzisław także przyjedzie.

— Więc zamieszkał u brata? — Ludomiła niby zpochmurzała trochę.

— Tymczasem, dopóki sobie jakiego nie kupi majątku. A pragnie niedaleko od brata zamieszkać. Proboszcz mówił im, że pan Żaba Romanowice sprzedaje.

— Ależ Romanowice to wielkie są dobra!

— To też pan Zdzisław ma do rozporządzenia znaczną sumę.

— Więc jest bogaty?

— Zrobił majątek na giełdzie, a miał tyle rozumu i ostrożności, że w czas grać przestał.

— Na giełdzie?!... — powtórzyła panna.

— Tobie się to niepodoba?

— Nie lubię takich łamikarkowych spekulacyj... A raczej wolę, gdy kto pracą i zabieżnością przyjdzie do kawałka chleba.

— Tak, jak pan Arnold! — poszepnęła przyjaciółka ze znaczącym uśmiechem. — Ja wszelako nic w tem złego nie widzę, i lepiej, że pan Zdzisław zrobił ma-

Digitized by Google

jątek i że nieco grosza z bogatego zachodu do wycieńczonej przybyło Polski.

— Prawda!... To prawda!

— Pan Zdzisław bardzo jest do brata podobny, tylko że duży ma zarost. Ta sama figura, ten sam kolor włosów i rysy podobniuteńkie.

— Ale większy panicz!

— Maniery przedziwne! Elegancja ruchów, wysłowienie się, żywość, dowcip, wykwintna francuzczyzna!... Kawaler ten zrobi *furore*, a jeszcze i przy majątku. Józio odchwalić go się nie może... Oby tylko!... — dodała z żartobliwym uśmiechem — oby tylko brata z twojego nie wyrugował serduszka!

— Och, Nelciu! — rzuciła się panna, a na jej lica świeżutki wybił rumieniec — mnie taka powierzchowna nie złudzi pozłota!... Byłabym wietrznicą...

— Wybacz, wybacz, kochana! Żartowałam tylko!... Zresztą, ponieważ nie jesteś związaną niczem, pan Arnold i słówka nie wyrzekł jednego!

— A ja tymczasem już wstręt czuję instynktowy do tego pięknego Adonisa paryzkiego! Nie wiem, zaprawdę, dla czego? Nie umiem sobie z tego zdać sprawy, ale, tak... jakoś niby przeczuciowo. A może też tylko... że.. — urwała nagle.

— Że... że...

— Że będzie adjutantował panu Arnoldowi... Nie wiem sama!... Straszy mnie coś, i na tem koniec... Przeczuwam instynktem niewieścim... A może to i omylne, co daj Boże!

Digitized by Google

W tej chwili ukazała się z poza portjery pani Garbowska.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry, ciocieńko!

Ludomiła i Kornelia pocałowały ją w rękę.

— Ciocieńka niech siada, tu na kanapę.

— Wolę na fotelu, aniołku! Lubię fotel — i krzesło poręczowe zajęła. — Byłam na mszy św., a wychodząc z kościoła, mówiłam z proboszczem. Odprowadziłam go nawet ku plebanji... Poprosił na kawę, lecz podziękowałam, bom już była po kawie swojej! — Proboszcz mówił mi, że zabawili się wczoraj doskonale. Wrócił brat pana Arnolda z Paryża, kawaler prześliczny, salonowiec, panicz na wyższą skalę i bogaty! Opowiadał im wiele, a tak przecudnie, że do rana byliby posłuchali chętnie. Przyjęcie było eleganckie, kolacyjka wyśmienita. Znać z przybyciem bogatego braciszka wszystko w domu pokaźniejszą przybrało postać.

Ludomiła niecierpliwie aż drobną tupnęła nóżką — i dłonią czoło potarła.

— Dziś obadwaj bracia jadą do Romanowic, które pan Zdzisław chce kupić. Inaczej byliby tu przyjechali. Pan Zdzisław pragnie swoje złożyć uszanowanie... A będą obadwaj bracia i na imieninach w Rudnej.

— Mówiłam już o tem Miłce — wtrąciła pani Kornelia.

— Ciekawam bardzo poznać tego pięknego panicza — wymówiła ciocia.

Poczem wstała i z pokoju wyszła.

Pani Zrębowska pospieszyła do gotowalni. A Ludo-

Digitized by Google

miła dzienniki czytała dalej — czyli raczej nie czytała, a przerzucała tylko — i przerzucała — niecierpliwa, niespokojna czegoś — bo aż niby silniej uderzało serce.

Kobiety miewają niekiedy podobne chwile: coś je straszy — niepokoi... może to jest ostrzeżeniem ich anioła-stróża — z czego podobno, niestety, nie korzystają nigdy — idąc za chwilową zachcianką, upodobaniem, dogodnością, bo nie zawsze i uczuciem. A zresztą, w naszym wieku pozytywnym, to już i nie wierzą w aniołów-stróżów — ani w przeczucie serca czy duszy — chyba tylko w myślowość jakąś: w pewien instynkt wrodzony, zwierzęcy.

Digitized by Google

VI.

W przeddzień św. Józefa Kalasantego bracia wybrali się w podróż. Mieli rano wyjechać, bo do Rudnej było mil ośm.

Zdzisław całą swoją wykwintną elegancją podróżną zabierał: najwytworniejsze wyroby angielskie — i ubrania wykonane przez najumniejszego mistrza kunsztu krawieckiego w Paryżu.

Arnold aż spojrzał ciekawo, lubo że w prostocie swojego ducha nie zwykł był tego rodzaju wykwinty podziwiać. Najwięcej jednakże zajął go *necessaire* podróżny, wyrób *super*, *super fine* zaprawdę.

Po śniadaniu: herbacie, szynce i jajkach na miękko, zaszła dzielna czwórka gniadych, koczyk czyściutki. Forszpan Jacenty włożył ładną liberję granatową z karmazynową wypustką i guzikami białemi, a Jaś wyglądał jakby z igły zdjęty. Wszystko przedstawiało się składnie i ściśle porządnie — *chic* miało, wyrażając się po dzisiejszemu.

Digitized by Google

Zdzisław żałował jednakże, że dotąd jeszcze przynajmniej karetki nie kupił.

— Zakurzymy się — wymówił, spoglądając na swoją białą pikę — i słońce nam dokuczy: *il darde admirablement.*

— Nawykłeś do wagonów — odrzekł Arnold — ale w koczyku zawsze jest przewiew, i zobaczysz, że przyjemną będziemy mieli podróż.

Wsiedli. Jacenty dał ognia z pakuł. Gniadosze żwawo ruszyły.

Arnold obejrzał się jeszcze na dziedziniec — na dworek — na gumna — wymownie... znać dobremu Bogu w duszy pobożnej swoją polecał chudobę. Zdzisław nucił sobie przez zęby jakąś Offenbachowską piosnkę.

Koczyk przez wieś pogonił, przez niwy rodzajne. Młody dziedzic i pola swoje troskliwem objął okiem. Pokłonił ręką pracownikom — i przeżegnał.

Zdzisław świeże cygaro zapalił.

— Może pozwolisz także? — i podał bratu cygarniczkę.

Arnold sięgnął po papieros, ale widocznie czemś innem zajęty.

Rącza czwórka skręciła na jarzębiną sadzoną drogę, i niezadługo piękne ukazało się Runowo.

— Cóż to za pałac? — Zdzisław zapytał i wychylił się nieco.

— Runowo... Mówiłem ci.

— Aa! Zapomniałem — Zdzisław patrzał się na wdzięczny obraz przed sobą.

Na lewo stał kościół murowany i ładna plebanja w ogródku. Dalej szkoła — murowana — długa —

Digitized by Google

niedawno przez młodą wybudowana dziedziczkę. Na prawo kształtny pałac ze smukłą wieżycą, wśród cienistych kasztanów i drzew wysoko wybiegłych. Widną była i krata żelazna — i białe filary bramne z wieżyczkami. Poniżej rozłożyła się wioska: wszędzie ładne domki — żywopłoty przystrzyżone i ogródki.

— Wcale ładna wioska, i chamy... czyli chłopki mają swój *comfort* — wymówił Zdzisław, oglądając się na pałac. — Widzę i cieplarnię dość dużą.

— Wszystko piękne — odszepnął Arnold.

— Ile też Runowszczyzna warta?

— Jest blisko dwunastu tysięcy morgów. Ziemia pszenna, lasy piękne...

Arnold niby ciche stłumił westchnienie.

— To wcale apetyczny kąsek. A pewno jest i gotówka, bo przecież panna nie przejada procentów.

— Nic nie wiem.

— Niezawodnie, że są i baranie skóry, jak mówią szlachcice nasi. Winszuję ci tej gratki!

— Zdzisiu!

— Pociągają ciebie widocznie. Bo i dlaczegożby te zaprosiny do Rudnej, z których i ja, twój braciszek, korzystam?

— Uprzejmość to pana Józefa.

— Ba, ba!... I panna ładna, mówisz?

— Śliczna! — poszepnął Arnold.

— Wykształcona, *des belles maniéres*...

— Pod każdym względem śliczna! Dobra jak anioł... Istota szlachetna i ze wszech miar wyższa...

Digitized by Google

— Pewnie już nie młoda? — przecedził Zdzisław przez zęby.

— Młoda!

— Może jaki *defaut?* — i wskazał ramię.

— Żadnego! — Arnold zapłonął. — Kibić ma prześliczną!

— To już nie rozumiem!... chyba... — pokręcił głową. Spojrzał na brata.

— Czyliżby rzeczywiście osobą swoją tak świetne mógł odnieść zwycięztwo? — Był podobnym do niego, bardzo ładnym chłopcem. — Ale!... — Zdzisław znowu pokręcił głową, i różne mu po niej snuły się myśli i domysły: — Dla czego to pociągano Arnolda do takiej *heiress*'y!... Gdybyć to jego, to co innego! Ale... Arnold był ładny, dobry, miał wykształcenie i naukę, ale... ale... całem swojem *personage*'em zawsze do szlachciców-demokratów należał — i czyliż ta jego umysłowość, wykształcenie, nauka, mogły pójść w porównanie z jego wytworną francuzczyzną, manierami *du haut parage*, i onym wykwintem *of fashion*, który zniewala serca niewieście, mające choćby cząstkę estetycznego poczucia!... Chyba, że tam coś jednakże się kryje, o czem braciszek, *trop simple*, pojęcia nie ma! Bo przy takim majątku, ładna... czyli nawet śliczna! Rzecz niezrozumiała... *Il y a quelque chose entre l'arbre et l'ecorce!* O co zresztą mniejsza! Bo i któżby na to zważał przy dwunastu tysiącach morgów! — rzucił niedopalone cygaro. Obejrzał się znowu na pałac, który — gdy powóz skręcił — w malowniczym przedstawił się obrazie poza klombem świerkowym: wieżyca — balkon —

Digitized by Google

weranda — cieplarnie.... — i pomyślał: — chorągiew w herbownych kolorach wydałaby się wcale dobrze na tej wieżycy, i odpowiednio!

— Czy Skalinieccy dobrą są szlachtą? — zapytał znowu.

— Bardzo dobrą, o ile wiem.

— Czyste karmazyny?

— Zapewne...

— Potrzeba w Niesieckim poszukać...

— Po cóż to? — zaśmiał się Arnold.

— Och, tak sobie! Jestem w zasadach demokratą, przejęty ideami zachodu. Ale natura zawsze ciągnie wilka do lasu!

— To i na cóż się wtedy te idee przydadzą?

— Ażeby niemi imponować! — zaśmiał się Zdzisław figlarnie niby — *pour en faire parade!...* A raczej żartuję tylko, mój Arnoldku.

Pod wieczór stanęli w Rudnej. Czwórka, jakby niezmęczona wcale, żwawo okrążyła trawnik i wryła się przede dworem — z wystawą na czterech słupach, długim, z przybudówkami różnemi, wedle potrzeby i wygody po staro-szlachecku.

Pan Józef wybiegł — więcej jeszcze ogorzały, i serdecznie gości powitał.

Zdzisław prosił, ażeby okurzyć mogli się pierwej, zanim ich paniom przedstawi. Zaprowadzono ich zatem do przeciwległej oficyny, gdzie im bardzo wygodny oddano pokój.

Po chwili powiódł ich gospodarz do dworu.

Digitized by Google

Przeszli przez parę pokoi, nie wysokich ale dość obszernych, świeżutko na jutrzejszą przygotowanych galę: posadzka się szkliła — kwiaty w wazonach woń niosły uroczą. Żaluzje były przymknięte.

— Panie są w ogrodzie — wymówił gospodarz — i wyszli przez drzwi oszklone pomiędzy kwietne na gazonach klombiki.

Pod odwieczną lipą siedziały panie — istnie także jakby po dawnemu.

— Pan Zdzisław Drogomirski — przédstawił go pan domu — żona moja, pani Garbowska, panna Skaliniecka.

Zdzisław pokłonił się jak nie można piękniej.

— Siadajcie panowie!... Żono, kazałem tutaj podać podwieczorek.

— Ale panowie przez dzień cały byli na słońcu — zauważyła gospodyni domu.

— Właśnie też dla tego będą woleli na świeżem pozostać powietrzu. Czy nie tak, moi panowie?

— Zaprawdę, że tutaj jest uroczo — odrzekł Zdzisław za siebie i brata.

— Otóż widzisz, Nelciu!

— Panowie przyjemną mieli podróż?

— Dla mnie nadzwyczaj przyjemną, pani! — znowu Zdzisław odpowiedział, gdy pani Garbowska coś tam do Arnolda zagadywała. — Przez lat kilka nie byłem w kraju, więc wszystko dla mnie nowem, świeżem przyobleka się wdziękiem.

— Pan tęskniłeś za krajem?

— Och, pani! Czyjeż nie tęskniłoby serce?... Zachód

Digitized by Google

pociąga, rozpromienia niby wszystko. Ztamtąd płynie oświata, wielkie rodzą się idee, zbawienne, błogosławione. Tam kwitną sztuki, i każdego nawet zachwycą profana. Tam jest życie, wykwint wszelkiego rodzaju, swoboda, myśl, czary... ależ to zawsze nie nasze, nie ziemia rodzinna! Więc też i mimo tego wielkiego, prawdziwego, wszechstronnego piękna, które upaja duszę i świat nowy otwiera dla ducha — tęskni się za swojską sielanką, za polami naszemi, wioską i dworkiem rodzinnym.

Służba poczęła znosić podwieczorek: z n o s i ć, bo w Rudnej było wszystko jeszcze po dawnemu — a zatem i jedzenia wiele, różnych przysmaków: p o d k u r k ó w! Dziś i ten wyraz ostatni znika ze słownika — i coraz mniej jest powszechnym.

Zrobił się ruch. Rozmowa stała się ogólniejszą i przygwarną.

Zdzisław przy pierwszej chwili sposobnej ciekawym wzrokiem objął Ludomiłę: była prosta — młoda — i bardzo ładna; miała ruchy nader wdzięczne, organ miły... i sukienkę białą muślinową, jakby w powieści angielskiej. Rozmawiała właśnie z Arnoldem — coś tam o piśmiennictwie krajowem — uśmiech igrał na jej ustach rumianych, modre oczy powiększyły się niby, głos jej dźwięczał melodyjnie — a powab naturalności, prostoty, jakby aureolą całą jej opromieniał istotę, niepozostawiając bez wrażenia nawet i s z t u k ę lubiącego Zdzisława.

— Rzecz szczególna! — pomyślał — i bogata!...

Digitized by Google

Piękna Runowszczyzna, pałac... zapewne i listy zastawne!... *Incompréhensible!*

Po chwili uznał, że i podwieczorek był wyśmienitym — lubo że miał podniebienie zepsute łakociami i zamorszczyzną przeróżną.

— Czy też dobrze mówi po francuzku? — jeszcze sobie w duszy poszepnął. — Zobaczymy!

Po podwieczorku wezwała pani Kornelia towarzystwo na przechadzkę po ogrodzie.

— Nie jest-to park — zwróciła się do Zdzisława — ani kunsztowny *pleasur-garden* — ale są stare, swojskie drzewa, świeże od pola wieje powietrze, a mamy przy olszynie i strumyk.

— Wierzaj mi pani, że dzisiaj stokroć wolę być tutaj, aniżeli w lasku bulońskim.

Idąc dalej, zwolna jakoś a nieumyślnie znalazł się po chwili niedługiej obok Ludomiły. Począł mówić o dziejowych pamiętnikach Krakowa — bo właśnie powrócił na Wiedeń i Kraków. Potrącił uroczyste wrażenie, jakie gród Wandy czarodziejsko na jego wywarł duszę... Mówił dużo i ładnie, a wtórowała mu Ludomiła, która już razy kilka tę polską zwiedziła Jerozolimę.

Potem zawrócił zgrabnie do Wiednia — zawadził o Monachium, Walhallę. Oparł się w Paryżu... i po chwilach niewielu we francuzką rzucił się rozmowę.

Ludomiła odpowiedziała mu — i był zadowolonym z jej umiejętności i akcentu.

Krótko to jednakże potrwało, bo panna zaraz znowu ojczystą zagadała mową.

Digitized by Google

Wieczorem bawiono się muzyką w salonie. Ludomiła zagrała parę ładnych kompozycyj — i dwie cudne piosenki Moniuszki dźwięcznym, milutkim, gładziuchnym i wyrobionym zaśpiewała głosem.

Zdzisław unosił się w pochwałach, uznał śliczny swojski utwór — a wykonanie nazwał: prawdziwą ilustracją uroczych a umiejętnie stworzonych melodyj.

— Wiesz — zagadnął następnie do brata, gdy po jedenastej w swoim stanęli pokoju — panna wcale ładna, nie piękność żadna, ale przyjemna, dobrze wychowana, i powitam ją bardzo chętnie jako moją bratowę.

— Nie śmiem i marzyć... — odrzekł Arnold.

— Toćże się to pokaże!

W tym samym czasie stanęła ciocia przed Ludomiłą i składając dłonie, wyrzekła:

— Ach ten pan Zdzisław! Już i nie może większej być p e r f e k c j i!... Pan Arnold jest urodziwy, zacny, przyjemny, ale ten drugi! — klasnęła w dłonie. — A ty nic nie mówisz, Ludziuchno?

— Toćże już ciocia wypowiedziała wszystko — odrzekła, śmiejąc się młoda dziewczyna, i pocałowała ją w ramię.

— Przecudny młodzieniec! *Incomparable*!

Digitized by Google

VII.

Od południa poczęło się zjeżdżać sąsiedztwo, bliższe i dalsze. Przede dwór zachodziły powozy, odwieczne landary, nowe karety, najtyczanki, a nawet i bryczki — z których zesiadali rumiani, ogorzali szlachcice w oponach płóciennych od kurzu.

Pokoje przepełniły się gośćmi. Zdzisław niby dziwnym wzrokiem mierzył zebranie — lecz był uprzejmy i ponad wyraz grzeczny dla wszystkich. Zbliżał się raz po raz do Ludomiły, z towarzyską swobodą i wprawą niezrównaną społeczeństw wyższych. Potem stawał za krzesłem pani domu — a wreszcie przysiadał się do cioci, która nim była oczarowana. Ale miał głównie na oku dziedziczkę Runowa: zręcznie i niezwracając uwagi, śledził każde jej spojrzenie i wyraz, mianowicie co do Arnolda. A śliczną rzeczywiście dziś była: na białej sukience jedwabnej, nader kształtnie zrobionej, miała tunikę tiulową malowniczo drapowaną i podpinaną bukietami z kwiecia jabłonki. Takiż sam pęczek wpięła

Digitized by Google

w sploty ciemnych włosów. Szyję i ręce zdobiły granaty, spuścizna po matce.

Zdzisław przyznał, że toaleta jej całkiem w dobrym była smaku, a nawet na paryzką zakrawała poniekąd.

Poczem jednakże i zaraz potrząsł głową nieznacznie, jak gdyby chciał dodać:

— Mniejsza tam o to!

Po nader sutym objedzie rozpoczęły się tańce.

Arnold pierwszego mazura przetańczył z Ludomiłą. Zdzisław do pierwszego poprosił ją kontredansa.

— Niemasz jak mazur! — wymówił stawając za jej krzesłem — alem odwykł od hołubca na obczyźnie, niestety, i potrzebaby się pouczyć znowu... a nie po temu już pora.

— Łatwo byś się pan wprawił — odrzekła Ludomiła sucho nieco.

— Tak, gdyby myśl była po temu i ochota, zapewne.

Zdzisław znowu po francuzku zagadał, a ślicznym językiem, żę i posłuchała chętnie. Umiał i ubrać rozmowę swoją w myśl głębszą, a zarazem w poetyczne pobłyski i dowcip. — Swoje czyli pożyczane? — trudno było odgadnąć.

Po kontredansie wzięła Kornelia Ludomiłę pod rękę i w przyległym przechadzały się pokoju.

— Pan Zdzisław jest bardzo zajmującym, nieprawdaż? — zagadała pierwsza.

— Ma wielką wprawę towarzyską — odrzekła druga.

— A znać ułoży sobie naprzód z pięknych frazesów bukiet, z których potem kwiatkiem lub wonnym obdziela listkiem.

Digitized by Google

— O! nasze panie są nim oczarowane! Ty jedna tylko od tego ogólnego wyróżniasz się zachwytu.

— Nie mogę sobie poradzić inaczej. Ale jestem jak Gretchen we Faušcie: przeczuwam Mefistofelesa.

— Och, och! Zkądżeż to tobie? W cóż się obróciła twoja zbyt dobra wiara?

— Nie wiem... — młoda dziewczyna pochyliła czoło — sama nie rozumiem, co w duszy mojej, tak swobodnej zawsze, to jakieś dziwne nieci podejrzenie... *Mais c'est plus fort que moi!* posłużyć się muszę wyrażeniem francuzkiem.

— A cóż pan Arnold? — zapytała Kornelia ciszej.

— Jest zawsze panem Arnoldem!

Tymczasem nie tylko obecny areopag niewieści przyznał panu Zdzisławowi Drogomirskiemu wszelkie doskonałości, tak pod względem urody jako i salonowej perfekcji. Lecz pozyskał sobie i uznanie mężczyzn... zwłaszcza też, gdy posłyszano, że zamierza Romanowice kupić od pana Żaby. Przyznali nawet, że jest pięknym, kształtnej postaci, zgrabny, miły... — na co, gdy kobiety chwalą, panowie nie zgadzają się najczęściej... Znać patrzą inaczej. — A zarzucają niewieściemu rodowi, że siostrzyce nie lubią sobie nawzajem wdzięków przyznawać — i to przez zazdrość wrodzoną! — może słusznie twierdzą — tylko że własnej nie widzą belki.

Tańce przez noc całą potrwały, i całkiem już było widno, gdy sąsiedzi rozjeżdżać się poczęli.

— A co? czy szepnąłeś swojej *belli* jakie *dolcissime*

Digitized by Google

słówko? — zapytał Zdzisław nazajutrz brata przy kawie.

— Ani słówka... — odrzekł Arnold.

— Wyznać potrzeba, że nie zasługujesz na ten tak wyraźny i widoczny uśmiech Fortuny!

— Myślę, że odjedziemy po południu....

— Chcesz odjechać? — Zdzisław przed zwierciadłem stanął.

— Bo i po cóż bawić dłużej?... Na co?... Ona nie dla mnie! Rozważyłem wszystko dobrze zeszłej nocy... I ty sam uznajesz to zapewne, przyjrzawszy się lepiej...

— Jesteś dziwak! — Zdzisław obrócił się nagle — przecież przekonać się trzeba...

W tej chwili szybko drzwi otworzono, i wbiegł pan Zrębowski.

— To i co? W imię Ojca!... — zawołał. — Słyszę, że chcecie odjeżdżać! Twój to kaprys, panie Arnoldzie, ale nic z tego nie będzie. Nie puszczę, daję słowo, gdybym i koła miał kazać pozdejmować, jak to ojcowie robili nasi! Przyjechaliście o mil ośm, i już się wydzieracie! Jest-że to uczciwie?

— Mam pracę w domu... — wtrącił Arnold, jakby zwarzony.

— Żurawin nie ucieczе, daję na to najświętsze słowo honoru, i nic nie stanie się złego! Zostańcie, i basta. Panie już są w ogrodzie, więc chodźcie także.

Zdzisław był gotów i wyszedł z gospodarzem. A w kwandrans za nimi Arnold podążył dopiero, smętny, ponury—i aż niby blady, staczał wewnętrzną z sobą walkę: miłości ze zwątpieniem — a może i z dumą. Kochał,

Digitized by Google

a nie dowierzał. Lękał się upokorzenia, a co gorsza: posądzenia, że goni za milionami panny. Ta myśl ostatnia była mu dotkliwą szczególniej. A jeszcze też i Zdzisław ciągle o tę Runowszczyznę potrącał — jak gdyby i on go podejrzywał o tak niegodne polowanie! Jak gdyby owe miliony najwyższym Ludomiły powabem były — i raczej główną przynętą... Aż miał żal do brata, którego kochał tyle — że ten ciągle ów wielki posag bogatej wspomina dziedziczki. Ztąd też i rad byłby co rychlej uciec — i zagrzebać się znowu w swoim Żurawinie.

Zastał towarzystwo pod lipą. Gwar i śmiechy wesołe szerzyły się w koło — tak niezgodne z jego usposobieniem. Ale z hartem szedł naprzód.

Ludomiła wysunęła się ku niemu z uśmiechem — czarująca — że omało nie oszalał.

— Pan przychodzisz ostatni — zagadała — a myśmy już przechadzkę po olszynie odbyli. I oto plon! — pokazała mu pęczek kwiatów.

— Śliczny! Nie próżne to ludu naszego przysłowie: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — odrzekł Arnold z przymuszonym uśmiechem.

— A ja będę wspaniałomyślną i obdzielę pana cząstką mojego żniwa.

Wyjęła kilka bratków, gałązkę macierzanki, stokrocie i sroczkę, i podała mu wiązkę.

— Dziękuję! — zawołał z okiem rozjaśnionem, całując ją w rękę. — Śliczne bratki!

Digitized by Google

— We Francji zwane *pensées* — ozwała się pani Kornelia.

— A przywiązują do kwiatka *pensée* i pewne znaczenie — dodał jeszcze pan Józef.

Ludomiła zapłonęła, zrażona nieco tą uwagą — i Arnold także.

— Ażeby więc podnieść to znaczenie — ozwała się i zaraz z całą swobodą — dołączę jako dobra sąsiadka, wraz z pomyślności życzeniem i czworolistną koniczynę. Szukaliśmy tego szczęścia, i znalazłam aż trzy. Proszę! — podała czworolistkę Arnoldowi, który w drżące ujął je palce.

— A załóż-że panie to szczęście za guzik! — zawołał Zrębowski, co też Arnold uczynił. — Jest-to pewna pomyślność! A dobrą ową wróżbę zaczniemy od śniadania, poziomego, aczkolwiek niezbędnego materjalizmu. Bo widzę właśnie Tomasza z serwetą — i podał rękę pani Garbowskiej.

Arnold stał obok Ludomiły, więc wypadało, by ją poprowadził.

Zdzisław z elegancją podał ramię gospodyni domu.

— Niemasz to jak dawny, odziedziczony po praojcach obyczaj — wymówił niby pół żartem, niby z dobroduszną ironją — obyczaj, który ciągle a ciągle karmi, a jeszcze tak wybornem, polskiem jedzeniem. Francuz poczęstowałby nas cukierkami, konfiturą, Hiszpan czokoladą, a Niemiec jaką *Milchsuppe*.

— Lecz Anglik *beefsteak*'iem!

— To też niech żyje Albion!

Digitized by Google

Po objedzie pozostały tylko jeszcze resztki gości: pani Garbowska, Ludomiła, bracia Drogomirscy i były major b. w. p., pan Wilski, humorysta, zawsze z gotowym konceptem.

— Nie bawi on wprawdzie szczególniej — poszepnął pan Jozef żonie — ale poczciwiec... i zatrzymałem go na szachownicy.

Przedwieczorne powietrze było przecudne, balsamiczne. Powiew orzeźwiający przeciągał od pola, rozsiewając woń świeżą.

Małe zebranie znowu pod lipą zasiadło. Arnold zawsze jeszcze posępnego wejrzenia, chociaż niby z uśmiechem na ustach — i z przywiędłym czworolistkiem przy guziku.

Major baraszkował, wielce zadowolony sam z siebie. Jakiś tam jemu, widać niewłaściwy dla wszystkich, przypomniał się koncept, i wziąwszy pana Zdzisława, jako paryskiego kawalera, pod rękę, uprowadził go ku olszynie. Pani Garbowska już poprzednio udała się do swojego pokoju, podobno po cieplejszą okrywkę.

Pan domu powstał i poszedł za ogrodnikiem, by mu jakiś wydać rozkaz. A po chwili zawołał:

— Nelciu! Nelciu! Proszę ciebie na chwilę!

Pani Nelcia na wezwanie małżonka pobiegła.

Pozostali się więc sam na sam: Ludomiła i Arnold.

Panna coś tam zagadała — i kawaler coś tam także mówił. Ale rozmowa nie wiązała się jakoś.

— Pan pewno tęsknisz za Żurawinem? — zaczęła panna znowu, nie wiedząc na prędce nic innego, coby powiedzieć mogła.

Digitized by Google

— Jestem tam potrzebny, pani.

— Ale pan i kochasz tę swoją posiadłość?...

— Przyrosłem do niej... A jednakże będzie się trzeba oderwać... pożegnać zapewne...

— Jakto? Pan? Żurawin? — tchu jej niby nie stało i zlekka zbladła.

— Jeżeli brat mój kupi majątek w dalszej okolicy, to i przeniosę się z nim pospołu. Mam tylko tego jednego brata

— Tak... Rozumiem... A Romanowice?

— Pan Żaba za wiele żąda.

— Ale jakżeby pan Żurawin porzucił?!...

— Z bolem serca.

— I naszą okolicę, gdzie pan masz wszystkich tak życzliwych dla siebie.

Arnold czoło pochylił. Ciężar zaległ mu na piersiach. Tętna w skroniach kołatały szalenie. Oczu podnieść nie śmiał.

— A może będzie zbawiennie gdy pożegnam — wybiegło z ust jego pomimowolnie.

— Dla czego?

— Jestem aż nadto nieszczęśliwy... Cierpię! — wyrzekł bez przytomności niemal.

— Och!... — młoda dziewczyna splotła dłonie.

— Panią pożegnać muszę — powstał młody nagle — bo inaczej oszaleję!... Kocham!... Bez nadziei... z rozpaczą!... Teraz pani wiesz wszystko!...

— Więc pan pozostań! — zawołała głosem stłumionym, podając mu rękę — pozostań pan na zawsze... — dodała cichym poszeptem.

Digitized by Google

Arnold rączkę do ust przycisnął — dostał zawrotu — nic wymówić nie zdołał — i blady jak mara na krzesło upadł. Strwożona panna mniemała, że on zemdleje.

Młody dłonią oczy zacisnął i wymówił zcicha:

— Och! to za wiele jest szczęścia!

— Nelciu! — zawołała Ludomiła przyjaciółkę, której suknię niebieską pomiędzy kląbami dojrzała.

— Pani! pani!... Czemuż pod stopy rzucić się nie mogę! — zacisnął Arnold dłonie, blady zawsze, że aż przerażał.

Pani Kornelia nadbiegła. Arnold powstał.

— Nelciu! — uśmiechnęła się dziedziczka Runowa, ponad wszystko urocza — przedstawiam ci mojego narzeczonego! — wskazała Arnolda.

— Bogu chwała! Bogu dzięki! — klasnęła Kornelia w dłonie. — Jakże się cieszę! Jakże jestem uradowaną!... Józio! Józio!

I Józio nadbiegł, bo był niedaleko.

— Patrz! — zawołała. — Powitaj młodą parę! Nie posiadam się z radości.

— Wiwat! — wykrzyknął pan Józef. — Wiwat! Cześć wam obojgu! Najpiękniejszy to wiązanek na imieniny moje. I najserdeczniejsze składam wam życzenia!

Kornelia rzuciła się na szyję przyjaciółki. Pan Józef Arnolda uścisnął — na którego lice rumieniec powrócił znowu.

— A teraz winienem brata o tem szczęściu mojem nad miarę i Bożem błogosławieństwie uprzedzić — wymówił.

— Nadchodzi właśnie z majorem.

Arnold pobiegł naprzeciw brata.

Digitized by Google

Zdzisław z jasnem spojrzeniem wiadomości posłuchał. Uścisnął brata — i przykląkł zgrabnie przed przyszłą bratową, by jej rączkę ucałować. Ścisły badacz byłby jednakże dostrzegł, że kąciki ust jego pod wypieszczonym wąsikiem dziwnie jakoś drgały. Lecz takiego tu właśnie nie było badacza.

A major zaimprowizował:

Słońce się śmieje,
Zefirek wieje!
Kwiatki woń niosą
Zperlone rosą.

I wśród tych lubości
Życzę wam miłości,
Wszelkiej pomyślności
Do późnej starości!

— Brawo! brawo! — zawołał gospodarz. — Wypijmy zdrowie młodej pary najdawniejszą starowinką piwnicy mojej. Tutaj, ot, w tem miejscu szczęśliwem.

— Ale ciocia! — przypomniała sobie Ludomiła ciocieńkę.

— Poproszę ją! — i pan Józef pobiegł ku dworowi.

Ciocia nadeszła, rumiana, zadyszana — i aż się popłakała, całując Miłkę, i podając obiedwie ręce panu Arnoldowi.

Gospodarz sam przyniósł omszoną starowinkę, a za nim służący kieliszki na tacy.

Wzniósł toast klęczący. Major znowu coś tam improwizował. Wesołość była ogólną.

— Kochany to i poczciwy ten pan Arnold — poszepnęła ciocia wśród gwaru w około, pani Korneli na

Digitized by Google

ucho — ale... wyznam szczerze, byłabym dla Ludomiłki wolała pana Zdzisława.

— Ciociu! ciociu!

— Już milczę. Ależ to jest kawaler!

— Potrzeba także o tem zajściu szczęśliwem powiadomić zacnego proboszcza w Runowie, nie prawdaż? — zagadał pan Józef.

— Ach tak! — zawołała Ludomiła — to taki przyjaciel szczery!

— Najpoczciwszy z poczciwych! — dodał Arnold — i biegnę napisać do niego.

— *Lente*, *lente*, mój kochany! Pozostań tu sobie. W tej chwili wyprawię mojego Grzesia do stacji telegraficznej, i zacny proboszcz jutro na śniadanie tę radosną będzie miał nowinę. A pamiętajcie państwo moi, że wszystkich, tak jak tu jesteście, przynajmniej trzy dni w Rudnej zatrzymam.

Nikt przeciwko temu wyrokowi nie powstał.

— Cieszę się bezmiernie tem twojem szczęściem — wymówił Zdzisław do brata, gdy późno we wieczór weszli do oficyny. — Runowo jest ładne, a stać się może rezydencją piękną. Wiem, że tam i gotówka jest znaczna.

— Zdzisiu, na Boga, nie wspominaj o tem! — zawołał Arnold, bo aż go dusiło w piersiach.

— Jesteś skromny w wymaganiach swoich, wiem o tem. To też teraz masz nagrodę.

Digitized by Google

Zdzisław tej nocy spać nie mógł wcale. Wychodził na świeże powietrze, i widziano, że niecierpliwie machał rękoma, jak gdyby się gniewał sam na siebie.

Nazajutrz w południe nadszedł telegram następujący od proboszcza z Runowa:

„Błogosławieństwo Boże! Jestem nad miarę uradowany. Dziękuję za poczciwą pamięć. Bóg z Wami!“

Digitized by Google

VIII.

Za powrotem Ludomiły do Runowa, odbyły się uroczyste zaręczyny. Zjechał opiekun pan Działowicz; przybyli państwo Zrębowscy. Proboszcz pobłogosławił z całej duszy, pierścionki turkusowe poświęcił — i ślub na 10. listopada naznaczonym został.

W koło pałacu paliły się lampy i lampiony. Brama licznemi jaśniała światłami — poza bramą, na obszernym trawniku, raczono lud wiejski. Odzywały się skrzypki, basetla i klarnet ochrypły, a gromadki ochocze przez połowę nocy hasały.

Nazajutrz rano stała Ludomiła przy oknie, opuściła na dłoń czoło i zamyśliła się głęboko.

— O czem? — zagadała, przybiegając Kornelia i objęła ją w pół.

— Słyszałam raz — odrzekła — że charakter ludzi można niekiedy z rąk ich poznać albo przeczuć, i rozwodzono się szeroko, co przepowiadają palce krótkie

Digitized by Google

a grube, długie a pałkowato zakończone, płaskie z krótciutkiemi paznogciami, dłonie szerokie, ciężkie... i t. d. Uwagi te nieraz przychodziły mi na myśl i — czy uwierzysz? — sprawdzały się zwykle. Dzisiaj niezwyczajnym wstrętem przenika mnie dotknięcie ręki Zdzisława...

— Ależ on ma piękną rękę, wypieszczoną, to i cóż jej zarzucasz?

— Ma rękę kształtną, pielęgnowaną starannie... lecz te palce długie, nieco, bo nieco tylko, jakby zakrzywione, mają dla mnie coś drapieżnego, i po prostu dreszcz mnie przejmuje, gdy rękę podać mu muszę.

— Masz dziwne przywidzenia, czego nie bywało dawniej.

— Znałaś patrona *?

— Znałam. Był to człowiek na wskróś brudnego charakteru.

— Gdy mnie ujął za rękę, niemal febra mną zatrzęsła, jak gdybym się plugawego dotknęła gadu... Czułam przez skórę brud duszy jego.

Kornelia zaśmiała się i wyrzekła:

— Pan Zdzisław jest miły bardzo, zacny, wykształcony, ma najlepsze w świecie maniery, uprzejmy dla każdego, ciebie uwielbia, a brata kocha po nad wszystko. Zatem charakterystyka rąk się nie sprawdza.

Ludomiła o czemś innem mówić zaczęła. Widocznie miała uprzedzenia i do nich przyznawała się sama.

Od dnia zaręczyn obadwaj bracia dnia każdego pod wieczór do Runowa spieszyli, to konno, to wolantem,

Digitized by Google

jak się zdarzyło. A szczęśliweż były to chwile! — Wiosną serca — kwiatem życia — iskrą przeczystą z nieba zesłaną! Przelotne, bo nieziemskie — zostawiając jednakże poza sobą wspomnienie, które i w lata późne ścieżkę pielgrzymowi przyświeca, mimo cierni, głogu i chwastów.

Zwolna nawykła Ludomiła i do Zdzisława, powtarzając sobie: że ów mniemany instynkt niewieści zawiódł ją pewnie — a raczej instynktem nie był, tylko przywidzeniem, że brat nie w porę przybyły, może będzie przeszkodą.

Toć-że nawzajem bracia kochali się serdecznie. Zdzisław okazywał tyle szczerego przywiązania i względności — i tak był miłym, przyjemnym w obejściu, tak zgodnego zawsze humoru.

Kupno Romanowic nie przyszło do skutku, więc szukał majątku w oddaleńszej stronie, ubolewając przy tem, że nie będzie sąsiadował z Runowem.

Dnia jednego nadmienił nawet Arnoldowi, że po ślubie jego — zanim potrafi jakie odpowiednie kupić dobra — to i zamieszkałby może w Żurawinie.

— Całem sercem, całą duszą — zawołał Arnold — oddam tobie wszystko braciszku najdroższy!

— Nie jestem i gospodarzem, nie znam się na niczem, więc tutaj wprzódy i pouczę się trochę.

— Zbawienny to pomysł! A nam będzie tak szczęsno mieć ciebie blisko.

— Rozpatrzę się zwolna, będę składał procent... Może sobie i jaką wynajdę bogdankę. To i urządzi się reszta.

Digitized by Google

— Wybornie!... Kupno majątku wymaga namysłu, rozwagi...

— Otóż właśnie!... Potrzeba mi do Warszawy pojechać i porozumieć się z którym bankierem, by kapitały pościągał moje, a rozleniwiałem straszliwie. Znać, że mi tu z tobą jest dobrze... a pannę Ludomiłę uwielbiam.

— Nieprawda? — zawołał Arnold z zapałem — boć też to anioł! Istota pełna uroku i czaru!

— Jesteś szczęśliwym bardzo! — Zdzisław westchnął niby. — Daj Boże znaleźć drugą podobną!

— Znajdziesz! znajdziesz z pewnością! Bo w Polsce jest więcej takich: Ludomiła, to typ dziewic naszych!

Po dniach kilkunastu zagadał Zdzisław dnia jednego nadspodziewanie, że chciałby przenieść się do Krymu.

— Wybuduję tam sobie domek w guście włoskim, założę park. A może więcej kapitalistów pójdzie za przykładem moim. Kraj to śliczny! Niebo cudne, klimat jak najzdrowszy, wegetacja *semi*-południowa, wspomnienia dziejowe, pamiątki, a wszystko niby leży odłogiem. Będzie więc w świecie inteligencji i zasługą poniekąd. Przypomnę sonety Adama!

Arnold zdumiał, własnym nie dowierzał uszom — i aż przerażony zawołał:

— Chciałbyś kraj własny opuścić? Szukać obcych bogów... za marami gonić... i mnie porzucić?! — dodał z żalem głębokim.

— Och, kochany! Będziesz miał wybraną przez siebie kobietę, otoczenie pełne uroku... to i potrzebnym ci nie będę. A przecież możemy często pisywać do siebie.

Digitized by Google

— Martwe litery na świstku papieru sercu nie starczą! Sprawiasz mi ból prawdziwy tą mową.

— Wybacz!... Ale widzisz, mnie różne nasuwają się myśli... bo nie jest mi dobrze na świecie...

— Tobie?! Bracie kochany! — Arnold załamał ręce.

— Chciałbym gonić za czemś... coś ścigać... pragnąć czegoś... Ale czego?... Jestem sam z sobą w rozterce nieznośnej!

— Masz brata, który ciebie całą kocha duszą. Lubią ciebie wszyscy i cenią, szanują. Masz dostatki, zdrowie, urodę, młodość! Jesteś we własnym kraju, i każdej chwili piękną możesz mieć siedzibę.

— Wszystko to prawda... lecz i w tem wszystkiem wielkie jest a l e!

— Jakież to a l e? Przez Boga żywego!

— Mówię ci, że moja we własnym wnętrzu rozsterka. może to przeminie znowu, jak choroba... Może to jest *spleen*... Więc i nie mówmy już o tem!

Pod wieczór pojechali jak zwykle do Runowa. Zdzisław niby był wesół — a raczej we zwykłym sobie humorze. Arnold tylko zauważył, że zamyślał się raz po raz.

Siedzieli pod wystawą pałacu. Chodzili po ogrodzie. Ludomiła różne, nowe, mające go upiększyć przekładała im plany — i zapytywała o zdanie pana Zdzisława, jako *juge compétent*.

Uśmiechnął się uprzejmie — ale oczy spoglądały smętnie. Gust swój wypowiedział — uwagi poczynił i rzucił na papier.

Digitized by Google

— Doskonale! — zawołał Arnold uradowany.

— Gust niepowszedni — poszepnęła Ludomiła.

— Zdzisiu, musisz całym zająć się ogrodem, a spólnie z panną Ludomiłą stworzycie rzecz cudną.

Poczciwy Arnold szczególnie miał na celu, ażeby brata rozerwać, zająć, innemi natchnąć myślami.

Gdy później z przechadzki wracali, Arnold szedł naprzód z Ludomiłą, a za nimi o kroków kilkanaście Zdzisław z panią Garbowską — wymówiła ta ostatnia:

— Pan takie genialne masz pomysły, że wszystko w raj mógłbyś zamienić.

— Obym mógł! — zawołał, jakby pomimowolnie i lekkie stłumił westchnienie. — Obym mógł!

— Ten plan pański jest cudowny! Widziałeś tak wiele i spamiętałeś. U siebie, to pan kiedyś Parnas zrobisz prawdziwy.

Zdzisław smutno kiwnął głową.

— Stworzysz raj i szczęście w koło siebie.

— Chciałbym je najsamprzód t u t a j ustalić... Brata kocham całą duszą, sercem całem, a pannę Ludomiłę uwielbiam... ubóstwiam... — dodał ciszej, z taką wibracją głosu, że ciocia aż we wnętrzu zadrgnęła swojem.

— Będą szczęśliwi! — odrzekła.

— Oby tylko Arnold mógł wznieść się ku niej! Dobry, kochany, poczciwy, ale ona nieskończenie jest wyższą!... On jej sprostać nie podoła.

Właśnie pierwsza przystanęła para i poczekała na nich — poczem szli już pospołu.

Digitized by Google

Cioci przychodziły odtąd niejednokrotnie na myśl powyższe wyrazy Zdzisława — kręciła głową przy tem wspomnieniu i nasuwały się domysły różne, dość bujne — ale nieco do pérzu podobno. Lubiła bawić się fantazjami, roiła sobie niekiedy dziwacznie, ale w tajemnicy ducha. Czytywała zwykle romansów wiele, mianowicie też mniej zdolnych pisarzy francuzkich — a potem różne wysnuwała z nich we własnej wyobraźni historje.

Wreszcie zdawało jej się niepodobieństwem, ażeby Arnold rzeczywiście podobał się więcej Ludomile od wykwintnego i świetnego Zdzisława.

W tydzień potem Zdzisław zagadał znowu do brata:

— Wierz, mam niepokonany pociąg przenieść się do Ameryki... wesprzeć kolonję polską.

— O mój kochany! — porwał się Arnold niespokojny.

— Mógłbym tam kapitałem swoim wiele zrobić dobrego. Przy zabiegach, pracy... pracy rąk i umysłowej, możnaby tam nowy kraik polski stworzyć, gdzie nieszczęśliwe tułactwo znalazłoby przytułek, pracę, naukę, oświatę, byt i nową ojczyznę!

— Boże mój, Boże!... Zasmucasz mnie serdecznie, drogi, kochany bracie. Jest w tem i prawda, co mówisz, ale poezji więcej... a Boże nie daj złudy!... Stu takich, jak ty, jeszczeby celu nie dopięli!

— Może tam i spirytyczne ciągnie mnie powołanie, bo od dni kilku, na jawie i we śnie, myśl ta i na jedną nie odstępuje mnie chwilę.

Digitized by Google

— I chciałbyś kraj ukochany, ojczyznę swoją pożegnać na zawsze? — pytał Arnold, aż niby ze łzami w głosie.

— By na ziemi wolnej, nową dla niedoli naszej stworzyć ojczyznę!

— Skup raczej tutaj szlachetne starania swoje, dążenia, pomysły, by dawną, starą ukochaną wspierać matkę! Masz środki po temu, umysł, wolę i serce! Porzuć więc te jakieś dziwne marzenia, które dotkliwem są dla mnie zmartwieniem.

Zdzisław rzucił się na fotel i twarz dłonią przysłonił.

— Jest to zapewne piękne i wielkie zadanie za oceanem wspierać osady wychodźtwa polskiego. Ale ty sam jeden nie wystarczysz... i zmarniałbyś tylko. A pomnij, że to, co we własnym uczynisz kraju, plon błogosławiony przyniesie. Jak na przykład wychowanie i wykształcenie młodych zdolności na przyszłych obywateli kraju. Mówimy o tem z Ludomiłą nieraz... ona tak szlachetne ma zamysły!... lecz o tem, potem!... A wszakżeż mamy i tę wiarę i nadzieję, że kiedyś, rozpierzchłe po całej niemal ziemi pisklęta, powrócą znowu pod skrzydła ukochanej macierzy!

Zdzisław siedział nieruchomy, przyciskając dłonią czoło.

— Zdzisiu drogi! — Arnold objął go za szyję. — Kochaj kraj swój!

— Kocham go — odrzekł Zdzisław przez zawarte zęby.

— Kochaj mnie!

Digitized by Google

— Kocham... bardzo! Ani wiesz ile! — wymówił głosem stłumionym.

— Kochaj współbraci swoich!... Lud polski!...

— Kocham! — odrzekł i westchnął.

Potarł czoło — nagle opuścił rękę — i wypogodzone odsłonił lica.

Arnold uścisnął go z miłością — i twarz jego także wypogodniała.

Digitized by Google

IX.

Ludomiła i pani Garbowska siedziały na werandzie. Milczały obydwie, jak gdyby przedmioty do rozmowy wyczerpnięte już były.

— Ten pan Zdzisław — zaczęła na raz jeden ciocia — to wielki jest człowiek!

Ludomiła spojrzała ku niej zdziwiona.

— Wielki człowiek! — powtórzyła znowu — pełen najszlachetniejszych zamiarów i poświęceń! Jemu kiedyś pomnik postawią.

Ludomiła opuściła ręce z robotą i patrzyła na nią z wyrazem zdziwienia, bo ani wiedziała, co o tem jej miała sądzić twierdzeniu.

— Czy tobie pan Arnold nic nie mówił?

— O czem?

— O bracie.

— Że jest jakiś nieswój...

— Otóż to! — zawołała ciocia.

— Niezadowolony, niby niezdrów.

Digitized by Google

— I nic nie powiedział, co on uczynić zamierza?

— Że ma dziwne czasem pomysły...

— Dziwne albo niedziwne, lecz wielkie zawsze! Mnie on przekonał inaczej. Bo potrzeba ci wiedzieć, że pan Zdzisław chce siebie i majątek swój poświęcić dla nieszczęśliwych współbraci: chce założyć w Ameryce kolonję dla emigrantów polskich. Dać im utrzymanie, to jest: zarobek odpowiedni i szkoły urządzić dla ich oświaty.

— Ależ na to potrzeba wielkich zasobów.

— Zaradziłby temu wszystkiemu. Wielki człowiek! Uwielbienia godzien... Pan Arnold jest temu przeciwny, i nie chce by z kraju wyjeżdżał.

— On go tak kocha. I już bolałby nad tem, gdyby pan Zdzisław o mil kilkanaście zamieszkał.

— A pan Zdzisław marzy tylko o poświęceniu, o wielkich dla ludzkości czynach! — ręka cioci aż drżała z wzruszenia. — Nie rozumieją go! — dodała zcicha.

Ludomiła coraz z większem na nią patrzała zdziwieniem.

— Więc pan Arnold nic tobie nie powiedział o tem?

— Mówił tylko ogólnikowo.

— To mnie dziwi, to mnie bardzo dziwi! — pokręciła głową. — Pan Zdzisław ma zaufanie do mnie i wiele mówi mi rzeczy. Taki szlachetny!... Gdyby się ożenił, jakżeby uszczęśliwił żonę!

— To też ożeni się przecie.

Ciocia pokręciła głową i westchnęła.

— Żeby osiedlił się tylko, wszedł w towarzystwa, to i spotkałby pewno panienkę...

— Ale kiedyż on wyższe ma dążenia! — zawołała

Digitized by Google

ciocia niezwyczajnie nastrojona. — On dobra pragnie ludzkości, ogółu! Nie goni za osobistem szczęściem... bo tego się wyrzekł... zaparł... Och, wielkie serce!

Ludomiła ciotki nigdy jeszcze w takim nie widziała nastroju i tyle egzaltowanej.

— On już własnego wyrzekł się szczęścia... — dodała ciszej i pochyliła czoło nad robotą — zrezygnował! Zrezygnował przez wielkośc duszy!

Ludomiła doznała wrażenia, jak gdyby ciocia nie własnemi mówiła słowami — i w zadumie chwilowej na dłoń pochyliła czoło.

Ciotka patrzyła się na nią z współczuciem i nieznacznie głową pokiwała.

W tej chwili nadszedł proboszcz i panie powtórzyły mu mianą dopiero co rozmowę.

Potrząsł głową, przygładził dłonią siwe włosy, zażył niuszek tabaki i wyrzekł:

— Nie rozumiem ja tam tych wielkich planów, ale wiem, że panu Arnoldowi zmartwienie sprawiają.

— Są wielkie i piękne! — ciocia podniosła czoło — a wszakże nie samolubne!

— Chciał przecie pan Zdzisław i na Krymie zamieszkać...

— Czyliż to księdzu proboszczowi pan Arnold powiedział? — zapytała pani Garbowska gorączkowo niby.

— Byłem kiedyś na objedzie w Żurawinie, wracając z miasta, i pan Zdzisław sam mówił o tem, co nawet bratu było arcy-niemiło. Dziwactwo! Osiedlić się na Krymie! i ramionami ruszył.

— Ażeby tam podnieść kulturę! Bo kraj to piękny

Digitized by Google

i klimat rozkoszny, a leży odłogiem. Lecz to był pomysł chorobliwy tylko. Dziś pociąga go jedynie kolonizacja wychodźtwa polskiego w Ameryce, a wielki to zamysł i ofiara wielka!

— Zwyczajnie, ot, przesycil się życiem i sam nie wie czego ma pragnąć. Brakuje mu chyba ptasiego mleka, a jest bezczynnym obecnie zupełnie, więc i takie tam sobie różne roi plany. Skoroby zaś kupił majątek, miał zajęcie, interesa, to i wszelkie upadłyby mrzonki.

— Mrzonki albo nie mrzonki!

— Pilnuj własnego zagona, ucz się i pracuj, a będziesz i dla ogólnego pracował dobra: taką jest moja maksyma. Pan Zdzisław piękny kawaler, dobry, miły, grzeczny...

— Wielki! Wielki w dążnościach swoich szlachetnych!

— Ba-ba-ba! Nie szafujmy, pani dobrodziejko wyrazami, bo nam ich zabraknie. Co to jest wielki? Co to jest wielkość? Wielkość, to rozum i szlachetność w zasadzie i czynie, w poświęceniu, a powiedzmy, że i w dziele dokonanem. A cóż pan Zdzisław zrobił?

— Zrobił... bo ma zamiary wielkie... — dławiła się pani Garbowska — poświęcenie... namaszczenie czynu... — domówiła głosem płaczliwym, porzuciła robotę, powstała i wyszła.

— Hecie pecie gdzie jedziecie! — zażartował proboszcz i stuknął w tabakierkę.

Ludomiła powstała, aż niby przerażona.

— Cóż stało się cioci?... Mój Boże! Ze łzami wyszła... Czyliżby się obraziła?

— O co? Na co?

— Nie widziałam jej jeszcze takiej.

Digitized by Google

— Znać ją rozmowy pana Zdzisława rozegzaltowały. Ale to przeminie.

— Pójdę do niej. Przepraszam! — i Ludomiła wybiegła.

Wróciły po chwili obiedwie. Ciocia już znowu była spokojna. Nie potrącono więcej i słówkiem o poprzednią rozmowę. Proboszcz coś tam opowiadał. Ciocia przywtarzała mu wedle zwyczaju — i była w zwykłym sobie zgodnym humorze.

Nieco później nadjechali panowie Drogomirscy. Zrobiło się wesoło a nawet i gwarno trochę.

Nad Ludomiłą zaciężyło coś wszelako i nie mogła pozbyć się doznanego a przykrego wrażenia. Nie umiała sobie w żaden sposób wytłumaczyć słów ciotki, jej dziwnej egzaltacji — owego potrącenia o coś, czego zrozumieć i pojąć nie mogła.

Pani Garbowska miewała czasem egzaltacje małe — ale przytakiwała zwykle wszystkiemu. Była usposobienia miękkiego, nader szczupłej umysłowej bystrości — bo często i nie zrozumiała tego, co posłyszała, i mylnie powtórzyła; nie oponowała za zwyczaj w niczem, aż do słabości — zkądże jej więc dzisiaj to wystąpienie tak szczególne?

Zmiana każda w osobach, z któremi żyjemy, zwraca szczególną uwagę, a razi i dotyka niemile, jeżeli pojąć nie umiemy, jeżeli sobie wytłumaczyć nie potrafimy, co ją spowodowało, wywołało — i co ona prowadzi za sobą.

Ludomiła pokrywała to dotknięcie niemiłe o ile mogła — lecz tkwiło na dnie jej duszy... jakoby przeczucie — i aż niby bolało.

Digitized by Google

X.

W niedzielę rano, jak zwykle w dni świąteczne, zaszedł wolant przede dwór w Żurawinie. Bracia mieli do Runowa pojechać: być na nabożeństwie — i dzień cały tamże przepędzić. Znalazło się niemal zawsze parę osób z sąsiedztwa, a proboszcz poczciwy zawsze. Bawiono się muzyką, pogadanką, wesołym ćwikiem — przechadzka w pole, do lasu — bo młoda dziedziczka, pełna życia i szczęścia, potrafiła urozmaicić towarzyskość w domu swoim.

— Zdzisiu! — wymówił Arnold, stawając we drzwiach jego pokoju — Jacenty zajechał.

Zdzisław podniósł się z kanapy i rzucił na stół gazetę — na którym różne pisma, książki, ryciny i mapy leżały.

— Wolałbym w domu pozostać — odrzekł posępnie — zostaw mnie tutaj!

— To i cóż to znowu, kochany? — Arnold usiadł obok i objął go za szyję.

Digitized by Google

— Nic nowego... Znana ci rozterka w mojem wnętrzu... Więc mnie zostaw samemu.

— Uchowaj Boże! Nie odstąpię cię, spleeniku drogi: albo ze mną pojedziesz, lub też ja przy tobie zostanę.

— To i cóżby na to powiedziała panna Ludomiła?

— Byłoby jej przykro bardzo... Możeby nawet i łezka na modrem niebie jej oka połysnęła...

— A ja nie chcę takiej łezki wywołać! — porwał się Zdzisław. Przerzucił włosy przez palce, potrząsnął głową, wyprostował się i wyrzekł: — zatem jedźmy!

Arnold go uścisnął.

Wsiedli do wolanta, który przez wieś i płowe już dzisiaj pola pogonił — bo żniskiem pokryte.

Pobożne gromadki wieśniacze, gwarzące, ciągnęły do kochanego kościółka: chłopi w sukmanach, parobczaki w katankach, białych koszułach, w kapeluszach z pawiemi piórami. Niewiasty w białych chustach na głowach, pstrych spodnicach i zapaśnikach, rańtuchami okryte. Dziewuchy z zaplecionemi w warkoczach opuszczonych wstęgami, okapione chusteczkami w rzucik różowy, niebieski, strojne w nagietki, malwy, wrotycz i piwonją. Gawędziły wesoło, białe wyszczerzając zęby.

Gromadki pokłoniły się panom, Arnold do nich zagadał.

Wolant szybko pogonił dalej, a gromadki pociągnęły ścieżką przez pole.

— Zdzisiu! braciszku! — wymówił Arnold, gdy wolant minął pielgrzymów, pozostawiając obłok kurzu za sobą — czyliż ci nie miło, nie swojsko, że aż

Digitized by Google

sercu weselej, obejmując ten sielski, a nasz prawdziwie widok?

— *Gemüthlich*, jak mówią Niemcy — odszepnął brat starszy, i spojrzał na pałac runowski, który w pozłocie rannego słońca, malowniczo z poza drzew gęstwiny, rozłożystych kasztanów i ciemno-wybiegłych wychylał się świerków.

Krata dziedzińca stała otworem. Na dwóch bramnych wieżyczkach chorągiewki z kogutami ani skrzywiły się trochę, taka była cisza w powietrzu.

Dziedziniec niby z zielonego pluszu zaścielał dywan. Kwitły pyszne georginje, wysmukłe malwy, astry i inne rozliczne kwiecie.

W oknie pałacowem, w łuk zakończonem, ukazała się dziedziczka tych uroków wszystkich, jakoby zaczarowana księżniczka w legendzie, uśmiechnięta, różowa — powabna. A ciocieńka w czepeczku z zieloną wstążką na ich spotkanie wybiegła.

Arnold ucałował rączki ubóstwionej. Zdzisław do cioci zagadał wesoło. Czyliż tę swobodę umysłu udawał tylko? — Arnold nie potrafił odgadnąć. Cieszył się tylko, poczciwiec, widząc go w lepszym humorze — i już przypuszczał, że te spleenowe napady były jedynie chwilowemi tylko.

Ozwały się melodyjnie dzwony, wzywając do świątyni Bożej.

Ludomiła włożyła kapelusik i podała rękę narzeczonemu.

Zdzisław, rozumie się, prowadził panią Garbowską.

Digitized by Google

— Pan dziś znowu jesteś dziwnie posępny — zagadała — uśmiechasz się niby, ale w oku smutek.

— O, pani wiesz... i czytać w mojem wnętrzu umiesz... — stłumił westchnienie.

— Boleję, serdecznie boleję. Czemuż pan rychlej nie przybył!... Ona samą jest poczciwością i cnotą, znam ją z dziecka... Musiała uznać przymioty pana, zalety... wyższość... ale obowiązku dochowa...

— Położenie okropne!...

— Ach! — ciocia westchnęła.

Po objedzie przyniesiono listy z poczty. Było przy jednym i pudełko małe.

— Od cioci ksieni! — zawołała Ludomiła i list przeczytała — poczciwa, kochana, przesyła nam swoje błogosławieństwo... Będzie o nasze modliła się szczęście, i załącza upominki dla nas obojga... Relikwią, potartą o drzewo Krzyża świętego.

Otworzyła pudełko, wyjęła dwie złote kapsułki, w których dawczyni umieściła, wykonane ślicznie własną ręką, szkaplerze: głowę Chrystusa, mozaiką jedwabną, jakby namalowaną.

— O jakże pięknie zrobione, własnemi sędziwemi rączkami, za pomocą okularów, mój Boże! — Ludomiła ze czcią święty podarek do ust przycisnęła.. — Drugi jest dla pana.

Arnold z uszanowaniem swój podjął.

— Będę go nosił — wymówił — będzie mi talizmanem.

Po licu Zdzisława niby wyraz ironji przemknał.

Digitized by Google

— Prześliczna robota — dodała jeszcze Ludomiła — a potrzeba dodać, że ciocia-ksieni ma lat siedmdziesiąt pięć. — Jutro zaraz napiszemy do niej oboje.

— List z sobą powiozę.

— Praca rąk sędziwych, podarek pobożny przyniesie nam szczęście — wymówiła Ludomiła z rozjaśnionem łzawo spojrzeniem. — To jakby potwierdzenie zaręczyn naszych!... Jakby z r ę k o w i n y powtórzone.

3

Bracia dopiero po północy do domu wracali. Arnold był rozmarzony — szczęśliwy — spoglądał na gwiazdy — poił się orzeźwiającym chłodem sierpniowej nocy — a duszą w Runowie pozostał.

Zdzisław dumał — chmurzył czoło — rzucał jedno cygaro za drugiem — i milczał ponuro.

Nazajutrz oświadczył, że musi do Warszawy pojechać.

— Czyli tu pozostanę, czy do Monomotapy pojadę, zawsze pierwej zrealizować muszę kapitały swoje — wyrzekł — więc jechać potrzeba.

Przeminęło jednak znowu dni parę: Zdzisław był ponury — jakby niezdrów — myślał — dumał — wstawał w nocy i biegał po ogrodzie: wyraźny trawił go niepokój wewnętrzny, tajony, że aż pomizerniał.

Arnolda ten stan brata martwił. Zapytywał go, badał, serdeczną okazywał troskliwość — a zawsze odbierał odpowiedź:

— Rosterka w duszy... *spleen*... ciężar żywota... przesyt świata... Ale to może przeminie.

Digitized by Google

— Przejedziesz się, Warszawa nastręczy rozrywki. Poradź się wreszcie i lekarzy... Możeby jaka dalsza podróż: w Karpaty, Tatry!... Och, Zdzisiu, niepokoję się tobą!

— Przeminie! — machnął Zdzisław ręką.

W środę był z pożegnaniem w Runowie, a we czwartek wyjechał.

Arnold tęsknem pożegnał go uczuciem — i uściskiem brata.

Pusto było mu w domu — i też rychlej jak zwykle, na swoim Maćku pokłusował do Runowa.

Maćku pokłusował do Runowa.

Na dwóch krańcach

XI.

Upłynęły dwa tygodnie, jak Zdzisław wyjechał. Napisał razy parę do brata, lecz krótko tylko i ogólnikowo.

Arnold, jak zazwyczaj, dnia każdego bywał w Runowie, a często i rychlej się wybrał tęsknotą trawiony.

Ludomiła czuła się niby swobodniejszą bez obecności pana Zdzisława, ale ciocia wyraźnie tęskniła za nim. Codziennie Arnolda zapytywała o niego, i troszczyła się, że tak długo bawi w Warszawie.

Dnia jednego, w późny wieczór, Arnold zabierał się z powrotem do domu. Było już po jedenastej. Miał odjechać po dziesiątej, ale go narzeczona zatrzymała — i samemu jakoś nie chciało się odjechać:

„Bo odjechać od niej trudno!"

jak mówi piosenka.

Nakoniec pożegnał się — i dosiadł Maćka. Ludomiła stała na peronie. Pokłonił z konia poza trawni-

Digitized by Google

kiem raz jeszcze. Stukot podków odbił się w bramie i przycichł.

Młoda dziewczyna długą postała chwilę — tęskna — z jakiemś nieodgadnionem w sercu uczuciem bolu. Słuchała... Jeszcze ją tupot Maćka z wiatrem dolatywał. Niebo było bezksiężycowe, i przeciągały po niem chmury białawe i szare. Cisza zaległa w koło.

Od pola raz niby jeszcze głuchy stukotu doleciał ją odgłos.

O, czemuż nie napomniała, ażeby jutro rychlej przyjechał!... Ażeby przybył na objad!... Ależ po co?... Dla czego?... Przybędzie o porze zwykłej, a może i rychlej — o, zapewne rychlej!

Zkądże jednak ta jakaś tęsknota dziwna?... Jakby złego przeczucie!...

Och, precz z tem przeczuciem!... Modlitwa szczera przesądne, chorobliwe rozwieje obawy. Złożyła dłonie, przycisnęła je do piersi — i gorące z głębi duszy do Ojca wszechrzeczy zasłała wołanie.

— Miłko, bo się zaziębisz! — napominała ją ciocia.

Ludomiła raz jeszcze ku niebu spojrzała, i do pokoju weszła.

— Dobra noc, dziecko! — pocałowała ją w czoło pani Garbowska. — Żeby też już ten pan Zdzisław powrócił!... Dobra noc! — i wyszła.

Ludomiła chwilę jeszcze podumała, zanim do swojej udała się sypialni.

I nazajutrz jeszcze tęskny nie odstąpił ją niepokój. Już zamierzała umyślnego do Żurawina wyprawić

Digitized by Google

wysłańca, by Arnold przyjeżdżał — ale wstyd jej było... bo jakżeżby się nawet i wobec niego tłumaczyła?

Czekała dnia schyłku... Gdy w tem stary Łukasz, kredencerz, dawny sługa domu, list przyniósł na tacy.

— Zkąd to? — zapytała, a serce uderzyło złowrogo.

— Z Żurawina, jaśnie pani.

Pobladła — list podjęła i drżącą ręką zerwała kopertę.

Arnold pisał:

„Najdroższa! Ubóstwiona!

„Zdzisław powrócił. Zatrzymuje nas tu ważny nader interes — i niepodobna mi podążyć dzisiaj do Runowa. Tęsknota ta ściska mi serce — ależ niepodobna!

„Klękam — i całuję w myśli rączki mojej Pani

Aż do grobu oddany i poddany

Arnold.“

Ludomiła machinalnie welinowy zwinęła arkuszyk. W sercu żal miała i tęskność — w myśli... niby wyrzut dla Zdzisława. — Lecz za co?... Cóż on zawinił?... — A jednakże, jednakże... złe jakieś miała przeczucie — i jego obwiniała.

Przedwieczór i wieczór upłynęły jej smutno. A jeszcze i ciocia była w jakimś dziwnym humorze. Niby to cieszył ją powrót pana Zdzisława — a potem była milcząca i chmurna.

Było godzin parę z południa, Arnold objeżdżał pole — gdy zjawił się Jaś zadyszany, z gęstemi kroplami potu na czole.

— Cóż to, Jasiu? — zapytał.

Digitized by Google

— Szukam wielmożnego pana... Przyjechał pan Zdzisław... z jakimś jeszcze panem... ekstrapocztą od kolei... i zaraz kazał wielmożnego pana poszukać.

Arnold po miedzy pokłusował do domu.

Zdzisław na jego wybiegł spotkanie. Chmurny, niby blady... Uścisnęli się w milczeniu — bo i Arnolda jakiś nagły przejął niepokój.

— Chodź — wymówił brat starszy — chodź do mojego pokoju.

Weszli. Zdzisław drzwi zamknął za sobą i straszni zpochmurzali.

— Cóż się stało, na miłość Boga!? — zapytał Arnold.

— Wielkie nieszczęście!

— Cóż takiego? — Arnoldowi tchu nie stało.

— Kaspar został aresztowany...

Arnold pobladł.

— Papiery pochwycono, korespondencje, czynności wszystkie wykryto.

— To już tak dawno... Lata upłynęły...

— Jesteś skompromitowany, zgubiony, więc uciekać potrzeba.

Arnold miał stosunki z Kasparem w roku 1863 — polecenia — składki i t. p. — zatem mógł być skompromitowanym fatalnie.

— Uciekać?!... — powtórzył głucho, a przed oczyma stanęła mu żywo postać ukochanej.

— Obecność twoja skompromitowałaby i innych jeszcze.

— Jakto? Nie rozumiem.

— Tak mnie zapewniono... zaraz po pierwszem śledztwie.

Digitized by Google

Więc też pospieszyłem natychmiast.. Ratować się musisz, bo winieneś i drugich ocalić!

— Uciekać! — nagła boleść złamała go niby.

— Koniecznie! Może interes następnie nie tak groźny weźmie obrót. Ale ostrożność potrzebna... i obmyśliłem wszystko. Dziś jeszcze, dziś w nocy winieneś przebyć granicę. Zatrzymasz się w Dreznie. Jutro uprzedzę Ludomiłę o wszystkiem, i jestem pewien, że na ślub przystanie gdziekolwiek za granicą... Co zaś do zabezpieczenia majątku od konfiskaty, odprzedasz mi zaraz Żurawin. Dam tobie na drogę 20.000 zł. pol. A potem zobaczymy co stanie się dalej. Jeżeli będę musiał dziedzicem Żurawina pozostać, nadeszlę ci sumę według umowy. Interes przecie pomiędzy braćmi... Za tygodni kilka będę miał wszystkie kapitały moje zgromadzone... Dobra twojego będę przestrzegał wysiłkami wszelkiemi!

Arnold rzucił mu się na szyję i ukrył łzy rozrzewnienia.

— Ale jakżeż uskutecznić sprzedaż Żurawina? — porwał się nagle.

— Przywiozłem z sobą rejenta...

— Aa! — Arnold przypomniał sobie, że Jaś o jakimś obcym wspomniał panu.

— Jest w salonie. Uznałem, że pospiech jest potrzebny. Czynność zrobimy zaraz, poczem odeślesz go na dworzec... I sam przyspiesz także. To jest jedyny ratunek!

Arnold zacisnął dłonią oczy.

— Ludomiłę uspokoję jutro. Postaram się dla niej

Digitized by Google

i dla pani Garbowskiej o paszport, i za dni kilkanaście zobaczysz je w Dreznie.

— O, jakaż to boleść gryząca, ziemię swoją, dom swój... wszystko co się ukochało porzucić!

— Pozbądź się tego rozczulenia, które do niczego nie prowadzi, a raczej myśl zdrową zamąca!... Chodźmy kontrakt spisać.

Czynność prawna nastąpiła: Zdzisław-Arnold Drogomirski został dziedzicem Żurawina.

Rejent odjechał.

— A teraz napisz słów kilka do Ludomiły. Kilka, bo ja wszystko powiem jej jutro.

— Ona nas czeka! — wymówił Arnold z żalem nieokreślonym.

— To też dla tego potrzeba twoje nieprzybycie wytłumaczyć. List wyszlę zaraz przez umyślnego posłańca.

Arnold ze złamanem sercem powyżej przytoczone nakreślił wyrazy.

Chłopak stajenny z listem poczwałował.

Zmierzchło się zupełnie. Jacenty zajechał. Jaś włożył na wolant ciężko upakowaną walizę.

— Zatrzymam się w Wrocławiu, pod Złotą Gęsią. Napisz do mnie *poste-restante* co najrychlej! — prosił Arnold. — Donieś o wszystkiem!... O niej!... I co stało się tutaj!...

— Będziesz miał wiadomość dokładną. Napiszę, o ile będę mógł, najrychlej.

Digitized by Google

Bracia uścisnęli się. Arnold upadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach — i zapłakał.

— Kochany mój, bo trwoga wisi nad nami!

Arnold powstał — fularem twarz potarł — odrzucił włosy i podjął kapelusz. Raz jeszcze brata uścisnął. Wybiegł. Wskoczył na wolant.

— Ruszaj! — zawołał.

Gniade ulubieńcy nieszczęsnego tułacza od błogiego ogniska domowego poniosły.

Zdzisław swobodniej odetchnął.

Digitized by Google

XII.

Gdy Ludomiła nazajutrz rano okno w swoim otworzyła pokoju i spojrzała na orzeźwiony piękny świat Boży — odetchnęła swobodniej, weselej. Połajała sama siebie o te jakieś mary wczorajsze — i nazwała się w i z j o n e r k ą.

Nie było jeszcze godziny jedenastej, zaturkotało przed pałacem. Wyjrzała... i zobaczyła samego Zdzisława. Śmiertelna trwoga jakoby zimnym żelazem przeszyła jej serce — pobladła — porwała się... ale ku drzwiom pobiedz nie zdołała.

Wszedł Zdzisław poważny i smutny.

— Na Boga!... Na Boga, cóż to?! — zawołała, dłonie załamując.

— Bądź pani spokojna — ujął jej rękę i do ust przycisnął — wszystko będzie dobrze.

— Arnold! Arnold! — jękła boleśnie i bezsilna na krzesło upadła.

— Jest zdrów... i bezpieczny.

Digitized by Google

— Ale cóż zaszło? — twarz trupio-bladą zacisnęła dłońmi.

— W skutek aresztowań w Warszawie musiał schronić się... i winien kraj opuścić.

— Czemuż tu nie przybył?

— Niepodobna! Zostałby ujęty, a zagraża mu wielkie niebezpieczeństwo.

— Gdzież on jest?

— Musi to być tajemnicą, nawet i dla pani!... Niedaleko a bezpiecznie.

— Czy tylko?

— U chłopa, oddanego mu duszą całą.

Ludomiła nieco odetchnęła.

— Bądź pani spokojną! — usiadł i rękę jej znowu z uczuciem do ust przycisnął.

— Boże, mój Boże! — łzy zalały jej lica.

— Arnold kazał panią na klęczkach błagać... Jadę po indult, ślub może nastąpić jutro...

— Boże mój! — i niby promyk nadziei błysnął z je modrych oczów.

— Ślub weźmiecie, Arnold wprost pojedzie do Drezna. Dla pań wyrobię paszporta i pojedziecie za nim. Jest to jedyny ratunek, jedyny środek...

— Ale czyż pan pozyska indult?

— Z pewnością. Rzecz wyłożę... Wszystko zrobić można.

— Ale jakżeż ten ślub... skoro Arnold ukrywać się musi?

— Późnym wieczorem. Pani udasz się do kościoła. Proboszcz będzie czekał przy ołtarzu. Arnold w tejże

Digitized by Google

chwili nadejdzie. Ślub nastąpi... Ale, pani, Arnold zaraz znowu uchodzić musi. Nie możecie z sobą i jednego zamienić słówka! Będę brata czekał z powozem za woźnicę przebrany... i będę czuwał nad wami.

— O, mój panie! — zawołała Ludomiła z uczuciem wdzięczności, ze sympatją dlań tkliwą po raz pierwszy w życiu.

— Wszystko potrzeba jak najostrożniej wykonać. Arnold winien tylko tę jednę chwilę być w kościele... Pani sama uzna te ścisłe środki ostrożności.

— Och tak, mój Boże!

— Zatem jadę po indult. Pani zechciej o wszystkiem uprzedzić proboszcza... Pani Garbowskiej moje najgłębsze uszanowanie — i powstał.

— Oby przetrwać te przejścia!

— Przetrwasz pani. Zostajecie oboje w szczęśliwych stosunkach i złemu zaradzić możecie, raczej złagodzić je przynajmniej. A powiedzieć sobie potrzeba, że nie masz pomyślności bez kolców!... Odzyskaj pani spokój, bądź myśli swobodnej! Zaklinam na miłość Boga! — przykląkł i jej obiedwie ręce namiętnie do ust przycisnął.

Porwał się i wybiegł.

Ludomiła na krzesło upadła — i zapłakała. Bolała nad niedolą ukochanego: że musiał kraj opuścić, który kochał tyle — zajęcia swoje — dążenia szlachetne — Żurawin!... i rzucić się w obczyznę!... — Ale obok tego żalu miała wszelako i pocieszenie w sercu — nadzieję!

— A ileż-to na ziemi polskiej jest nieszczęśliwych kobiet-sierót, które na zawsze, na zawsze ukochanych

Digitized by Google

swoich pożegnać muszą!... A niedostatek — nędza — tułactwo — Sybir — kopalnie. — O!!! — upadła na kolana i... dziękczynnym wybuchnęła płaczem.

Nadeszła pani Garbowska zdziwiona, zadumiona — bo posłyszała, że Zdzisław wstępował na chwilę.

Ludomiła opowiedziała jej wszystko. Ciotka załamała ręce.

— Ależ takie awanturnictwo! — zawołała. — Taki ślub awanturniczy! A potem siedzieć za granicą... Boć on już tutaj nie wróci! — pokiwała głową.

Byłaby chciała przedłużyć i wyrozumować siostrzenicy, że stokroć byłoby lepiej zerwać z Arnoldem, jak losy jego podzielać — że inne czeka ją szczęście!... Ale nie śmiała. Już nawet usta otworzyła — i zamknęła je znowu.

Lubiła dawniej Arnolda, unosiła się nad nim — ale gdy zobaczyła Zdzisława, gdy ją zczarował... to i dawniejsza dla tamtego znikła przychylność: korciła ją tak mała dla siostrzanki partja, że aż niechęć powzięła ku niemu. Jak to wszystkie słabe czynią umysły, gdy im ktoś, choćby bezwinnie, na przeszkodzie jakichś stanie zamysłów. Zwłaszcza gdy niemi jedynie uwidzenie, inaczej kaprys, a nie rozum lub serce rządzi. A niechęć ta rosła niepohamowanie, o ile w Zdzisławie mniemała wielkiego widzieć człowieka — który zarazem przecię i majątek posiadał — i taki piękny, elegancki i pański!

Ludomiła kazała proboszcza poprosić, i przyszedł zaraz.

Digitized by Google

— Co to? Na Boga! — zawołał. — Wyglądasz pani jak Piotrowina. Cóż się stało?

Biedna była blada i znękana. W kilku wyrazach opowiedziała mu wszystko.

— A!... A!... Ha! — wyrzucił niespokojnie i trzaskał wiekiem tabakierki, że aż ją popsuł.

— Cóż kochany proboszcz na to? — zapytała drżąca, głosem stłumionym.

— A!... Jeżelić indult przywiezie, to ślub dam natychmiast.

— Ale jakżeż to smutno, smutno, okropnie, nieprawdaż?

— Ej! Są jeszcze większe nieszczęścia i smutki — odrzekł, by jej nie rozżalić, lubo że sam zabolał dotkliwie, bo kochał Arnolda — a panna przecie z małego dziecka w oczach jego podrosła! — Potrzeba zdać się na wyroki opatrzności — dobył niuch duży z tabakierki zepsutej i zażył.

— Wszelkich, wszelkich dołożymy starań — mówiła Ludomiła — gdybym i połowę, i trzy-czwarte majątku oddać miała... i wszystko! — poszepnęła ciszej. — Może potrafimy zmienić to nieszczęście.

— Pewnie ani wiadomo o co chodzi?

— Nic nie wiem. Ale poproszę pana Józefa, ażeby się wywiedział o wszystko.

— Rzecz cała, oczywiście, wyjaśnić się musi... Może i Bóg dobry poratuje! — poczciwiec nieznacznie łzę otarł z oka i znowu niuch tabaki w nos wpakował.

Digitized by Google

Dzień przeminął trwożnie i smutno. Następny tak samo. I zniskąd wieści nie było. Nie śmieli nawet dowiedzieć się, czyli w Żurawinie co nie zaszło.

Dnia trzeciego około południa przybył wreszcie Zdzisław z indultem.

— O Arnoldzie pan nic nie wiesz? — zapytała go Ludomiła.

— Nic, pani. Bo i zkądżeż mógłbym wiedzieć? Zobaczę go za godzinę... Ślubne obrączki przywiozłem. O godzinie dziewiątej ślub nastąpić winien. Idę zaraz do proboszcza, by z nim się umówić.

I poszedł.

Proboszcz indult rozwinął: pozwolenie kościelne było wydane na zawarcie małżeństwa: pana Arnolda-Zdzisława Drogomirskiego z panną Ludomiłą Skaliniecką i — wszelkie potrzebne formalności dopełnione zostały.

— Arnold-Zdzisław — przeczytał proboszcz.

— Tak, dwóch imion. Matka przez fantazją nazwała jednego Zdzisław-Arnold, a drugiego Arnold-Zdzisław.

— To zaprawdę jest niezwyczajne.

— Powtarza się jednak niekiedy.

— Zatem o godzinie dziewiątej?

— Bądź ksiądz dobrodziej przy ołtarzu. Świadkami będą: pani Garbowska i stary sługa kościelny.

— A pan?

— Ja będę czuwał nad bezpieczeństwem brata. I uwiozę go za woźnicę przebrany.

Digitized by Google

— Jakże to?

— Będę czekał z powozem poza cmentarzem.

Proboszcz ręce złożył i czoło pochylił.

— Żegnam, kochany proboszczu, bo spieszę do brata. Ale porównajmy pierwej zegarki, ażeby nie chybić...

Uregulowali je.

— Podług swojego i wieżowy nastawię — wymówił proboszcz.

— To jest konieczne!... Do nóg upadam!

Zdzisław się pożegnał i do pałacu powrócił.

Ludomiła nastawiła także swój zegarek podług zegarka Zdzisława — i obiecała na dziesięć minut przed dziewiątą być już w kościele.

Zdzisław ze łzą w oku ją pożegnał — i szybko wybiegł.

Po objedzie zjawił się konno na chwil kilka.

— Arnold zdrów i dobrej myśli — oznajmił — dziś doń już uśmiecha się Drezno: natura to łatwo przystająca do wszystkiego... O dziewiątej punktualnie dostawię go, ale jedynie-li tylko na ceremonją. Musiał mi przyrzec, że natychmiast kościół opuści, i uwiozę go szybko. Ostrożność i ostrożność winna naszym być hasłem!... Przybyłem przez pola, by niczyjej nie zwrócić uwagi, bo każdej chwili spodziewam się rewizji, i baczność policyjna już pewno na Żurawin jest zwróconą. Nie rozmawiajcie z sobą, zaklinam! I nie zatrzymuj go pani choćby i spojrzeniem, bo niebezpieczeństwo wisi nad nami!... Powrócę inną stroną do domu.

Pożegnał panie i odjechał.

Digitized by Google

XIII.

Wieczór był ciemny. O trzy kwadranse na dziewiątą, Ludomiła — w białej sukni, z mirtową gałązką we włosach i bielutką zasłoną — okryła się czarną beduiną obszerną i zarzuciła kapelusik na głowę.

Nadeszła ciocia poważna i chmurna. Wzięły się pod ręce i wyszły w milczeniu.

W niewielu domkach wieśniaczych jeszcze błyszczały światełka. Od pola poświst zawiewał.

Furtka zewnętrzna była uchylona. Wiatr szumiał w konarach starego klonu przy bramie.

Przeszły przez cmentarz. Drzwi od kruchty były odemknięte nieco — i weszły.

Na środku kościoła, bliżej ołtarza wielkiego, jedna tylko paliła się lampa. Półciemnia osłaniała świątynię.

Ludomiła zdjęła beduinę — i uklękła. Ciotka usiadła opodal.

Z zakrystji wyszedł kapłan do świętego obrzędu przybrany. Za nim sługa kościelny.

Digitized by Google

Dziewiąta godzina wybiła na wieży. Kapłan stanął przed ołtarzem i złożył dłonie. Ludomiła, bezprzytomna niemal, na stopniach przyklękła.

Przez kościół przesunęła się szybko, niemal bez szelestu, wysoka postać w czarnym płaszczu... Arnold ukląkł obok Ludomiły — ujął jej rękę i do ust przycisnął. Spojrzała ku niemu: był blady — podniesiony kołnierz od płaszcza cienił mu lica, niby zapadłe — włosy ciemne opadały na skronie. Oblubienica spuściła oczy — i łzy jej lica zalały. Nie zamienili z sobą i słowa jednego.

Obrząd się zaczął cichym poszeptem... Młoda para drżącą ręką ślubne zamieniła obrączki.

Kapłan ich ręce złotem tkaną powiązał stułą. Pobłogosławił: powstali jako małżeństwo! — Kapłan do zakrystji podążył.

Niby szmer posłyszano... Arnold rękę młodej małżonki uścisnął — szybko, na palcach przebiegł kościół — i w ciemnej zniknął kruchcie.

Ludomiła łzawemi za nim patrzyła oczyma. Upadła na kolana i pochyliła głowę. Potem powstała, ujęła ciotkę pod rękę — i znowu w milczeniu do pałacu wróciły.

Wzruszona do głębi duszy weszła do swojej sypialni. Zrzuciła beduinę. Lampa paliła się jasno. Spojrzała w zwierciadło i własnym przeraziła się widokiem: była blada — mirt w ciemnych nie odznaczał się włosach — mglista zasłona na białą opuszczała się suknię — i

Digitized by Google

zdawało jej się, że wygląda raczej na marę, a nie na oblubienicę.

Szybko zrzuciła zasłonę i wianek ślubny. Złożyła dłonie, przycisnęła je do piersi i szybko poczęła przebiegać pokój. Arnold przedstawił się w kościele, w zamroce, tak widmowo... jak gdyby w starej jakiej baladzie jawiący się duch oblubieńca... Był zmieniony, blady, miał zapadłe policzki, rękę zimną — nic nie mówił... i znikł jak widmo!... Ta cała tajemniczość tak była straszną — ślub ten jakby złowróżbym... bez świadków niemal! W ciemnym kościele... przysięga za kapłanem poszepnięta tylko... Przejęły ją dreszcze.

— O! — jękła, zaciskając dłońmi oczy. — Ojcze mój! Matko!... Mamo moja!... Spojrzyjcie na waszą sierotę!... Otacza mnie bogactwo świata, złoty zbytek... a w sercu, gdyby w grobie!

Przebiegała szybko wewnętrznym niepokojem gnana.

W tem dźwiękły zlekka w przyległym pokoju drzwi oszklone, wiodące na ogród. Posłyszała szmer — stopy przycichły... przystanęła — spojrzała... Arnold stał w progu — ukląkł i ręce złożone ku niej wyciągnął.

— Arnold! — zawołała z głębi duszy, kroczyła ku niemu.

Jasne światło lampy go oblało — przystanęła nagle — cała jej wstrzęsła się postać.

— To nie... nie Arnold! — zawołała.

Oczy jej straszny przybrały wyraz — dłońmi ścisnęła skronie... jak gdyby oszaleć miała.

— Ludomiło! — zcicha błagał klęczący.

Digitized by Google

— Nie Arnold!... Nie Arnold!... Ach! — wyrwało się nagle ze straszliwą w głębi piersi trwogą — Zdzisław! — zęby jej ścięte konwulsyjnie zadźwiękły, lica śmiertelna powlekła bladość — posiniałe usta drgały kurczowo.

Nie zrozumiała jeszcze wszystkiego — lecz ujrzała ciemną otchłań przed sobą — przepaść bezbrzeżną.

Zdzisław bez bokobrodów był zupełnie do Arnolda podobny — a cień zdjętego zarostu niby zaklęsłość nadawał policzkom.

— Ludomiło wybacz! Arnold straconym jest dla nas na zawsze! — mówił szybko, wyciągając ku niej ręce. — W łonie mojem oddawna szalona dla ciebie wre miłość. Chciałem ją pokonać, uciec ztąd daleko... brat powstrzymywał... losy zrządziły inaczej!... Szalałem!... Pragnąłem życia ciężar rzucić... Dziś mając indult w ręku, stałem się występnym... Ludomiło jedynie ukochana! Arnold nam błogosławi!... Jesteś żoną moją!... Żoną moją, w obec Boga i prawa!

Ludomiła stała blada, bezprzytomna, nieruchoma jak posąg. Usta sine, drżące, miała na wpół rozwarte, oczy straszny, przerażający, jakby martwy przybrały wyraz... Była osłupiała, zdrętwiała — bez myśli — bez głosu.

— O moja, moja! Bądź moją na zawsze!... Jesteś nią w obec Boga i ustaw ludzkich... Przysięgłaś! Ludomiło, moją jesteś!

Młoda dziewczyna zadrgnęła, jakby nagłym, galwanicznym przejęta prądem. Wyprostowała się — i z głębi piersi strasznym wyrzuciła krzykiem:

Digitized by Google

— Podły! Podły! Zdrajco nikczemny! Precz ztąd! — ściągnęła obrączkę i rzuciła mu ją pod nogi.

— Ludomiło! — jęknął. — Opamiętaj się!

— Precz przeklęty! — drżała gwałtownie, że aż zęby jej szczękały. — Precz podły zdrajco!... Zadzwonię na służbę... — dodała dumnie, zwolna całą odzyskując przytomność i energję. — Uchodź z moich oczów.

— Oprzytomnij! — błagał Zdzisław, powstając. — Bóg związek nasz potwierdził!

— Precz! precz!

— Arnolda już nie zobaczysz nigdy!

— To grób nas połączy!

— Jesteś małżonką moją! Bóg słyszał twoją przysięgę!

— Złudzenie... kłamstwo... bluźnierstwo!

Zdzisław skrzyżował ręce przez piersi.

— Och, zlituj się!... Miłosierdzia!... Posłusznym będę tobie!... Niewolnikiem twoim!... Litości!... Życie tobie oddaję!...

— Wychodź!

— Usłucham... Ale oprzytomniejesz... O Ludomiło! Ludomiło! Kocham ciebie bez granic! Arnold błogosławi!

Wyszedł bez szelestu.

Ludomiła stała nieruchoma — jakby skamieniała...

Gdy w chwili potem weszła służąca, zastała ją zemdloną na dywanie.

Zdzisław udał się do pokoju pani Garbowskiej i blisko dwóch godzin u niej zabawił.

Digitized by Google

Gdy wychodził, poszepnęła mu jeszcze:

— Mam pewną nadzieję, że wszystko stanie się po myśli. Niepodobna inaczej! Wpłynę na nią o ile potrafię. Wszakże ślub kościelny was połączył, bo tak chciała opatrzność. Jesteście małżeństwem, i na tem koniec! Będzie opierała się chwilę przez namiętność dla tamtego, ale nakoniec skłoni się przecie. Stało się! Klamka zapadła!...

Digitized by Google

XIV.

Nazajutrz rano weszła pani Garbowska do pokoju siostrzanki.

Ludomiła leżała na kanapie — blada — przygasła — wycieńczona — oczy głęboko miała podkrążone, usta sine, zacięte.

— Dziecko moje kochane, dzień dobry! — objęła ją ciotka i pocałowała w czoło.

Ludomiła milczała.

Ciotka przy niej usiadła.

— Boże zrządzenie — wymówiła — znać tak chciała opatrzność!... Tamten zginął dla ciebie i pójdzie w odmęt świata... Szalona bezprzykładna miłość Zdzisława na przebaczenie zasługuje. Walczył z sobą oddawna szlachetnie... Nikt tak nie kocha jak on! Ta zamiana wyższem dla ciebie stanie się szczęściem. Oddałby życie. Bracia kochają się, to jakby jedność. Tamten błogosławi. A nie kochał ciebie nigdy tyle co Zdzisław... Będzie bratem kochającym... Będziesz bardzo szczęśliwą!

Digitized by Google

Ludomiła słuchała w milczeniu, jakby otumaniona, bezprzytomna, jak gdyby głosu zachwycić nie mogła. Potem porwała się nagle i ze ściśnionej wyrzuciła piersi:

— Ciotko! Te wyrazy są bluźnierstwem!... Zdrada, podłość, hańba!

— Dziecko! Jesteś żoną jego i Bóg tak chciał! Unosisz się... Jesteś zaślubioną! Małżonką! W obec Boga i ludzi!

— Szatana!... Zwarł się z piekłem. Nie jestem jego żoną!

— Jesteś, aniołku! Ślub, przysięga... Bóg tak chciał.

— Bluźnierstwo!

Ludomiła na równych stanęła nogach.

— Przysięga w obec Boga! Małżeństwo zawarte!

— Krzywoprzysięstwo... Zdrada! Podstęp haniebny! — zadzwoniła.

Weszła Justysia.

— Idź, poproś natychmiast proboszcza. I Łukasz niech przyjdzie.

Stary wszedł sługa.

Ciotka milcząca siedziała.

Ludomiła napisała list i karteczkę.

— List ten natychmiast na pocztę — rozkazała — a z karteczką na stację telegraficzną. Pan Łukasz pojedzie!

Stary wybiegł.

— Napisałam do pana Józefa, ażeby przyjechał natychmiast. Telegram jest do pana Działowicza.

— Miłko! Miłko! Zdzisław...

Digitized by Google

— Ciotko, ani słowa o tym podłym zdrajcy!

— Dziecko moje! Opamiętaj się! Jest twoim małżonkiem!

— Ciotko! Ciociu kochana! Ani słowa, na miłość Boga! — złożyła dłonie błagalnie — bo oszaleję.

Biegała niespokojnie po pokoju.

Ciotka siedziała w milczeniu, pokiwując głową, jak gdyby powiedzieć chciała:

— Zrobi się to wszystko!

Po chwili Justysia oznajmiła, że proboszcz przyszedł i jest w salonie.

Ludomiła obrzuciła się czarnym płaszczem i pobiegła do niego.

— Proboszczu jedyny! — pocałowała go w ramię.

— To i cóż stało się znowu? — zapytał z współczuciem, widokiem jej przerażony.

— Straszna, haniebna zdrada!... — upadła na krzesło i opowiedziała mu wszystko.

— To i ślub ten zaraz unieważnimy! — zawołał.

— Nieważny? Nieważny?

— A nieważny. Jest niczem! Bo tak pani, jak i ja wierzyliśmy, że oblubieńcem jest Arnold-Zdzisław, a nie Zdzisław-Arnold.

— Nieważny! i rozwiązanym być może zaraz?

— Natychmiast.

— O mój Boże, mój Boże! — upadła na kolana, wsparła czoło o krzesło i obfitemi zalała się łzami: łzami szczęsnego wzruszenia, wśród trwogi nieszczęsnej... że wolną będzie! Bo dotąd płakać nie mogła.

Digitized by Google

Sędziwy kapłan przycisnął do ust dłoń skuloną — patrzył się na nią zamglonem okiem — i nawet całkiem o przyjaciółce-tabakierce zapomniał.

Ludomiła długo płakała. Bo i jakąż łzy te dla niej stały się ulgą!... Bez nich byłaby chyba umarła.

Ciotka jeszcze usiłowała po razy parę za Zdzisławem przemówić, ale napróżno. A wyrzeczenie proboszcza: że ślub był nieważnym i rozwiązanym zaraz być może, zmartwiło ją nad miarę, bo tego nie przypuszczała nigdy.

Co więcej, nie wiedział o tem i Zdzisław, nie znał praw tych i nigdy nie słyszał o nich. Był pewnym, że małżeństwo raz zawarte, nie może być rozwiązane tak zaraz — a liczył bardzo wiele na osobę swoją, protekcję ciotki — i okoliczności.

Gdy mu zatem ciotka o wyroku proboszcza doniosła, był jakby piorunem rażony — ale nie całkiem dowierzał jeszcze. Bo wszakże wszystko było ułożonem tak zręcznie, tak umiejętnie — nawet i na pewnych zasadach!...

A liczył także i na dobroduszność bez granic Arnolda — i poczucie (dziecinne!) do cnotliwych poświęceń — miłość jego braterską... i — powiedzmy — głupstwo! Bo takiem mianem przechrzcił szlachetność brata.

Dnia drugiego przybył pan Józef, wyprzedzając żonę, która dopiero za dni parę przyjechać miała, ile że właśnie u matki swojej gościla.

Oburzył się gwałtownie na haniebny podstęp Zdzisława, i zapewnił Ludomiłę, że ta niecnie, święto-

Digitized by Google

kradzko wyjednana ceremonja małżeńska anihilowaną zostanie bez zwłoki.

— Ale cóż stanie się z Arnoldem? — pytała ze łzami.

— Pojadę do Warszawy i dowiem się co zaszło, co jeszcze zagraża. A potem znajdziemy go przecie.

— Och, to jego tułactwo tęskne, bolesne!... Osierocony w uczuciu każdem, z rozranioną duszą i sercem złamanem!

— Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

Ciotka usiłowała do pana Józefa za ulubieńcem swoim przemówić, ale ten z góry zaraz każde jej zgromił słowo — więc umilkła. Chodziła znękana i przybita. A raz po raz zjawiał się do niej jakiś potajemny z Żurawina posłaniec.

Nadjechał pan Działowicz. Zrębowski opowiedział mu rzecz całą. Sędziwy obywatel głową pokręcił, własnym niedowierzając uszom. Nie mógł otrząść się ze zdziwienia, zgrozy i pogardy.

— To jakby w powieści albo romansie — wymówił — taka dziwna i rzadka intryga. O, niegodziwiec!

— Dzieją się to historje rzeczywiste, niekiedy dziwniejsze od wyfantazjowanych najbujniej! — odrzekł pan Zrębowski — niekiedy i całkiem niepodobne do prawdy.

Nazajutrz przybyła pani Kornelia, i słów znaleźć nie mogła, by wypowiedzieć oburzenie swoje. Płakała

Digitized by Google

z nienawiści do Zdzisława i żalu nad losem Arnolda i Ludomiły.

Dnia tego samego weszła ciotka pod wieczór do pokoju siostrzanki, właśnie gdy była sama, i podając jej list, wyrzekła:

— Od Arnolda z Wrocławia.

— Od Arnolda!

Ludomiła pochwyciła welin i przeczytała:

„Błogosławieństwo moje dla Was obojga! Bądźcie szczęśliwi! — W tej chwili udaję się do Hamburga, a ztamtąd najpierwszym statkiem do Ameryki. — Później dam wiedzieć o sobie.

„Nic bez Bożej nie dzieje się woli. Dróg opatrzności my, dzieci ziemi, zrozumieć nie umiemy.

„Raz jeszcze błogosławię.

„Bóg z Wami!

Arnold.“

Ludomiła czytała — czytała — jękło w jej piersi — welin z ręki wionął — i bez czucia na ziemię upadła.

Przerażona pani Garbowska krzyku narobiła. Wbiegły służące. Przyspieszyła pani Kornelia. Podniosły ją z ziemi i w kilku chwilach przyszła do siebie. A byłaby wolała nie ocknąć się więcej.

Arnold straconym był dla niej!

Podstępnie zawarte małżeństwo unieważnionem zostało.

O Zdzisławie posłyszano, że wyjechał z Żurawina.

Digitized by Google

Pan Józef udał się do Warszawy.

Po dniach kilku powrócił z wiadomością: że pan Kaspar nie jest aresztowanym — i też nic mu nie zagraża, że w ogóle nic niepokojącego nie zaszło. Zatem Arnold Drogomirski niepotrzebnie z kraju wypłoszonym został.

— Wszystko podstęp i zdrada! — wyrzekł. — Hańba i zbrodnia! Pan Zdzisław zręcznie ukartował intrygę i myślał, że ją według życzenia przeprowadzi swojego, że panna Ludomiła w końcu będzie wolała wykwintnego *dandy*'sa od poczciwego Arnolda, i posażna dziedziczka naprawdę jego zostanie żoną.

— I gdzież obraca się pan Zdzisław? — zapytała pani Kornelia.

— Jest podobno w Warszawie, lecz ukrywa się. Rejentowi dał polecenie sprzedania Żurawina co rychlej.

— Kupię go! kupię Żurawin! — zawołała Ludomiła — i poczyń, dobry panie, natychmiast kroki ku temu!

— Dziś jeszcze napiszę do rejenta.

— Kupię Żurawin za jakąbądź cenę.

Dowiedziano się także niebawem — bo wiek dziewiętnasty nie jest wiekiem przechowanych tajemnic — że pan Zdzisław Drogomirski z żadnym bankierem w umowę nie wchodził, co do odbioru kapitałów swoich — i że kapitały one należały do B a j e k t y s i ą c a n o c y i j e d n e j.

Pan Zrębowski kupił Żurawin w imieniu panny Ludomiły dość drogo.

Digitized by Google

I wiedziano przez rejenta, że nazajutrz po odbiorze pieniędzy, pan Zdzisław Drogomirski do Wiednia wyjechał.

O panu Arnoldzie Drogomirskim niczego dowiedzieć się nie mogli.

Digitized by Google

XV.

Na dzień trzeci po onym nieszczęsnym w Runowie ślubie, wszedł kelner pod Złotą Gęsią do pokoju Arnolda.

— *Ein Brief poste-restante* — wymówił, podając mu list.

Spragniony wiadomości pochwycił go skwapliwie i rozerwał kopertę.

Kelner zabrał z sobą karafkę, by świeżej przynieść wody i wyszedł.

Arnold czytał odebrane pismo — rad byłby wzrokiem list cały od razu objął. Pochłaniał wyrazy, i w miarę jak czytał, bladł coraz bardziej a bardziej. Ręka trzymająca welin drżała... Pierś ciężar przytłaczał... Rzucił się na krzesło i dłoń ze zmiętym listem do czoła przycisnął.

Zdzisław pisał:

Digitized by Google

„Najdroższy, ukochany Bracie!

„Dziś jeszcze co do wiadomego interesu bliższych nie ma wiadomości. Ale pozycja zawsze groźną jest bardzo.

„Arnoldzie! Bracie mój! A teraz... teraz winienem Ci zdać sprawę — i drżę jak winowajca — padam na kolana i ręce wyciągam ku Tobie!

„Ludomiła od pierwszej chwili szczególne na mnie zrobiła wrażenie. Byłbym chciał obojętnym pozostać — i znienawidzieć ją raczej!... A oszalałem — obłędniałem — oszalałem uczuciem, jakiego dotąd nie zaznałem jeszcze! Oszalałem miłością bez granic!... Chciałem uciekać, walkę w łonie staczając okrutną. Sam widziałeś, że cierpię! — A przecie taiłem przed Tobą starannie cały ogrom tej straszliwej burzy duszy. Tem bardziej, och Arnoldzie... gdy mniemałem dostrzedz, że Ludomiła mnie zrozumiała, odgadła!... Gdy coś dziwnego — tyle mówiącego — z szaloną, występną rozkoszą wyczytałem z jej oka!...

„Pojechałem do Warszawy. Wyznam teraz, w celu opuszczenia kraju. Ameryka — jej lasy dziewicze miały być dla mnie portem zbawienia. W tem zagroziło Tobie niebezpieczeństwo — i pospieszyłem do Żurawina, mając jedynie-li Twoje ocalenie na względzie.

„Następnie rozłączenie się nasze, to pożegnanie ponad wszelki wyraz bolesne, przybiło mnie zaprawdę do krzyża — alem taił przed Tobą, co działo się we mnie. Odjechałeś, a ja rzucałem się rozpaczliwie po pustem mieszkaniu.

Digitized by Google

„Nazajutrz pojechałem do Runowa! Oględnie, ostrożnie udzieliłem Jej smutnej wiadomości. Pobladła... a jam zadrżał spodziewanej, wielkiej niewidząc żałości!... Cóż więc działo się we mnie?!

„Zaproponowałem ślub Wasz w Dreznie, i powiedziałem, że jadę po indult.

„Zezwoliła — upoważniła — wręczyła potrzebne papiery. Przy pożegnaniu ścisnęła dłoń moją oburącz — i zapłakała. Uścisk ten do głębi palił mnie duszy... Piekło w mojem było łonie!

„Indult otrzymałem, ale nie bez trudu.

„Powracam. — Panią Garbowską spotkałem przed pałacem. Mówiłem jej, że mam pozwolenie na ślub Twój z panną Ludomiłą.

„— O! — pokręciła głową. — Po cóż to? Na co? Ludomiła dopełni obowiązku. Poświęci szczęście własne... Ale czyż Arnold szczęśliwym będzie?

„— Nie rozumiem! Nie rozumiem! — wołałem jakby w obłąkaniu... Och, bom ją zrozumiał!

„— Chciej pan zrozumieć — odrzekła — bo zrozumieć musisz. Ludomiła poniesie ofiarę, odda rękę Arnoldowi... Ale pan jej serce posiadasz!

„Bracie! Mój Bracie! Co działo się ze mną, któż pojąć zdoła?!... Byłem kochany!... Ona byłaby nieszczęśliwą — i Tobie, mimo ofiary, nie dałaby szczęścia!... Miałem indult w ręku: imiona Arnold-Zdzisław mogły służyć i dla mnie... Dziwna, dziwna okoliczność! Dziwną była fantazja naszej matki! Jeżeli nie wyższem zrządzeniem... Bracie mój! W ręku miałem wszystko —

Digitized by Google

i Ją tylko jednę przed oczami — w myśli — w duszy — w sercu!... A była straconą dla Ciebie!...

„Zostałem przed godziną Ludomiły małżonkiem!... możem w szale popełnił występek — możem ciężko zawinił... Ale to wszystko było nad siły moje — nad siły śmiertelnego człowieka!

„Wiesz teraz co zaszło — a ja, winowajca, klęczę przed Tobą.

„Jej nie obwiniaj w niczem! Byłaby wiernie swojego dopełniła obowiązku. Dziś w niej tkliwą, kochającą masz siostrę.

„Miłość bez granic — żal — rozpacz — szał — zgryzota miotają całem jestestwem mojem — obok szczęścia na które nie zasługuję.

„O wybacz mi, Bracie!“ Przebacz nam wspaniałomyślnie! Więcej dodać nie śmiem.

Zdzisław.“

Runów 4. Września 1869.

(W pokoju pani Garbowskiej).

Pierwszą myślą Arnolda było: pobiedz po rewolwer i roztrzaskać sobie czaszkę.

Ból bez granic wrzał w jego piersi, szarpnął ją, jak gdyby był serce chciał wyrwać. Palce zatopił w ciele — dotknęły czegoś twardego: była to złota kapsułka z szkaplerzem. Podarek święty, który miał być potwierdzeniem zrękowin — jak mówiła Ludomiła! — Otworzył wieczko — twarz Chrystusa szczególne w tej chwili wywarła na nim wrażenie... Zacisnął dłonią oczy — i dwie łzy grube po jego zbladłem spłynęły licu.

Digitized by Google

Powstał po długiej chwili. Otworzył okno. Spojrzał w jasny błękit — znowu na twarz Chrystusa... Myślą sięgnął w przeszłość, gdy maleńkiego poczciwa Nastusia nauczyła pacierza... gdy mu święte pokazywała i tłumaczyła obrazki, a patrzył się na nie z czcią uroczystą... aż niby ze skruchą w dziecięcej duszyczce.

— Czemżeż jest życie? — wyrzucił półgłośno — krótką jedynie pielgrzymką... przejściem do lepszego życia! Bojem o dzisiaj bez jutra. — A czemżeż jest szczęście? Złudą, szałem... nigdy nienasyconem pragnieniem!... Zatem przechodnie chwilowi, bez jutra, winni mężnie znosić brzemię, które udziałem jest ziemi... i nie chwytać marę zwodniczą, obłędną, szczęściem nazwaną — wszakżeż to życie mgnieniem jest tylko!

Zgniótł cisnące się łzy na źrenicę. Uderzył dłonią w czoło, jak gdyby chciał oprzytomnieć. Potem usiadł przy stoliku i list do Zdzisława napisał, w poprzednim umieszczony rozdziale.

Przez noc całą biegał po pokoju i nie spoczął wcale.

Nazajutrz rychło Wrocław opuścił.

Digitized by Google

XVI.

Żadnej wiadomości, żadnej wieści o Arnoldzie! — Zrębowski dowiadywał się na wszystkie strony, lecz nadaremnie — a jeszcze potrzeba było oględności wszelkich, ażeby biednego nie skompromitować u c i e k i n i e r a. Przykre i smutne były te okoliczności — rzecz trudna do przeprowadzenia. Dotąd władze nie wiedzały jeszcze, że Arnold Drogomirski wydalił się z kraju, i było to dobro prawdziwe w tej całej smutnej sprawie. Ale czy tajemnica utrzyma się długo? — Pan Józef nadrabiał o ile mógł... zastawiał nieobecność jego chorobą u daleko mieszkającej rodziny — częstował — głaskał... Jeden i drugi domyślali się czegoś, zasłyszeli o czemś — ugłaskani, przejednani, jednakże niby nie wiedzieli o niczem.

Oboje z żoną wpływali i na uspokojenie Ludomiły, twierdząc zawsze: że Arnolda niezadługo wykryją — napiszą do niego — wyjaśnią mu wszystko i do powrotu wezwą.

Digitized by Google

Nic im na to nie odpowiadała — ale przeczuwała aż nadto dobrze całe to trudne położenie rzeczy.

Nieraz jej myśl przyszła, by odwiedzić Żurawin, ale i zaraz porzuciła ją znowu. Byłoby to z rozżaleniem połączone — a nadto jeszcze, mieszkanie Arnolda pozostało nietknięte dotąd — więc ją powstrzymywało także pewne uczucie dziewicze, które tylko przeczysta niewieściość zrozumieć potrafi.

Upłynęła jesień — i głucha, ponura zima. Ludomiła wcale nie ruszała się z domu, i tylko najbliższe sobie widywała osoby. Była smutna — ale na pozór spokojna, a często o rezygnacji mówiła.

W pierwszych dniach marca przedłożyła panu Józefowi rys ochronki i szpitala, które wystawić zamierzała — wraz z ogrodem przedzielonym na pół: dla dzieci — i dla starców, kalek lub chorych.

— Bo nie tylko z dóbr runowskich — mówiła — biedni mają tutaj znaleźć przytułek, ale i z włości sąsiednich. Mam majątek, dla siebie wiele nie potrzebuję, pragnę zatem zrobić z niego użytek, który serce i duszę zadowoli moją... Który mi szczęścia da trochę, bo zadowolenie z samej siebie, żem swoich dopełniła obowiązków. Budynek winien stanąć na zimę, jak mnie budowniczy zapewnia, bo materjały są wszystkie przygotowane... Na tymczasowe zaś użycie przeznaczam właśnie wykończone czworaki. I myślę, że to rychłe zadośćuczynienie chęciom szczerym... że to zajęcie i trudy, w nowe wprowadzą mnie życie i spokój powrócą może.

Digitized by Google

Zrębowski ujął tylko jej rękę — bo żal ścisnął mu serce.

— Zdaje mi się — dodała jeszcze — że nic innego nie potrafiłoby mi marzeń dawniejszych i młodych uczuć zastąpić... marzeń i pomysłów, które z nim podzielałam.

— Jakżeż panią te poświęcenia wysoko stawiają! — zawołał pomimowolnie przyjaciel.

— Nie nazywajmyż poświęceniem tego, co sercu ulgę przynosi, co nam jest potrzebą. To, czego pragniemy, ofiarą zwać się nie może... chyba tylko uświęceniem włożonych na siebie powinności.

— Szkółka wiejska już dla pani stała się pociechą.

— Prawda. Nauczyciel jest człowiek sumienny. Zacny proboszcz prawdziwym jest opiekunem. A dzieci uczą się chętnie.

— I dziewczęta w kobiecych robotach postępy czynią, jak mi Nelcia mówiła.

— Bardzom i z nauczycielowej zadowolona... Ale, wie pan, do urządzenia ochronki i infirmerji, podług zagranicznych zakładów, sprowadzam sobie Niemkę.

— Zkądżeż?

— Napisałam do doktora * w Dreznie, ażeby mi zdatną pod tym względem i zacną wynalazł i przysłał kobietę, która w podobnych zakładach już pewnej nabrała umiejętności i wprawy, i na której uczciwości polegaćbym mogła.

— Wcale dobry to pomysł.

— Myślę ją tutaj przez dwa lata potrzymać. To wystarczy, nieprawdaż?

— Jak najzupełniej.

Digitized by Google

— Później, za lat parę, i my także będziemy mieli ochronki, dziś jednakże wszystko jest dopiero w zawiązku. I dla czegoż od obcych nie mamy się pouczyć tego, co jest mądre, dobre i zbawienne? A nawzajem i oni niejednego także od nas pouczyćby się mogli. Jak na przykład wielkiej miłości dla kraju, która granic ofiarom nie zna. Gościnności szczerej; nawet i dla wroga. Uznania dla drugich. I wielkiej idei swobód dla całego ogółu!... Czytam teraz tak wiele, myślę i rozważam... ażeby zapomnieć. Och, nie! Nie zapomnieć! Ale, ażeby się w miłem chwil przeszłych ukołysać wspomnieniu... wyższej nabrać rezygnacji i z czasem pokonać wszystko... za przykładem j e g o! W chwilach szczęśliwych z n i m wiele o tych mówiliśmy przedmiotach i chęciach spólnych... bo i jakaż to dusza szlachetna!... — poszepnęła głosem stłumionym. — Ale chodź pan! Pójdziemy obejrzeć plac i ogród. Drzewka już posadzić kazałam. Nawet i kasztany, które tak dziatwie jak i starcom chłód miły dadzą.

Otóż takiem było teraz życie dziedziczki Runowa — dla której świat cały ze wszystkiemi urokami swojemi stał otworem — i niby obiecywał jej wszystko... by następnie może nie dotrzymać niczego!

Ciocia nieraz o różne potrącała plany. W zimie wskazywała Warszawę — na lato podróż za granicę — ale nadaremnie! I truła się we wnętrzu swojem, że siostrzanka pewnie... starą panną zostanie — lecz złemu zaradzić było niepodobna. Traciła ztąd dziwnie na humorze, nie przytakiwala jak dawniej, nie chwaliła

Digitized by Google

wszystkiego, mało nawet mówiła, była więcej zawartą w sobie — jak gdyby ją wyrzuty nękały.

Pan Józef dowiedział się od jednego z obywateli galicyjskich, że Zdzisław jest w Wiedniu, że wślizgiwał się w świat wielki — mianowicie też bankierski — i wiedzie życie panicza... rozumie się, że za sprzedaż Żurawina.

Będąc raz w Warszawie, spotkał Zrębowski dawnego znajomego, który przez lat kilka był na wychodźtwie.

— Wróciłeś szczęśliwie, Bogu dzięki! — zawołał. — A dawno?

— Od tygodni parę. Wróciłem, by tam z głodu lub rozpaczy nie umrzeć. Brak pracy i zarobku popychał mnie z miejsca na miejsce. Obiegłem kawał świata za chlebem, a Bóg widzi, żem do żadnej nie lenił się roboty. Ostatnie dwa lata w Ameryce przebyłem...

— W Ameryce? — pochwycił Zrębowski i zapytał o Arnolda.

Ale tamten nic nie wiedział, nigdy tego nazwiska nie zasłyszał poza oceanem.

— Wiedziałem przecie o wszystkich wydatniejszych osobistościach naszego wychodźtwa — dodał. — Taki Arnold Drogomirski wypłynąłby przecie... Chyba, że nie zbliżył się do nikogo z współrodaków, że jako odludek żyje, o którym drudzy ani zasłyszą.

— Zapytywałem, ogłaszałem przez dzienniki tamtejsze — wymówił Zrębowski posępnie — ale wszystko było daremne.

Digitized by Google

— Boć tam można być nieznanym, gdy komu o to chodzi, i przepaść całkiem bez wieści.

Zrębowski westchnął — boć to ostatnie było do Arnolna podobne: on zapewne chciał przepaść bez wieści i zamrzeć dla dawniejszych stosunków.

W kilka tygodni po wysełce listu swojego, Ludomiła odebrała odpowiedź doktora * z Drezna: że wynalazł ochroniarkę wzorową w osobie panny Berthy Klinke, która przez trzy lata zostawała także i w jednym z najsławniejszych *Krankenhaus*'ów — zatem sumiennie polecić ją może. Dodał, że jest katoliczką — że przystała chętnie na podane jej sto pięćdziesiąt talarów rocznej pensji i warunek pozostania przez dwa lata w obowiązku podjętym. Zapowiedział zarazem, że panna Klinke w dniach ostatnich czerwca do Runowa przybędzie, z czego Ludomiła szczerze była zadowoloną.

Digitized by Google

XVII.

28. czerwca pod wieczór, przywieziono ze stacji kolei żelaznej pannę Berthę Klinke do Runowa.

Wyskoczyła uśmiechnięta z powozu — w kapeluszu szarym z grubej słomy, z szerokim brzegiem i wstążką zieloną, w sukni kraciastej i bronzowym burnusie, w rękawiczkach bawełnianych dzikiego koloru.

Była to osoba trzydziesto-letnia, średniego wzrostu, koścista i chuda blondynka. Twarz miała szeroką i płaską, dużo piegowatą; oczy maślankowe nader dobrodusznego wyrazu; zęby popsute, usta szerokie, przyjaznym okolone uśmiechem; ręce duże i stopy.

Ludomiła przedstawiła jej się na peronie jako pani domu. Na co dygnęła głęboko i uścisnęła jej drobną rękę w swojej dłoni kościstej. Toż samo powtórzyło się i z panią Garbowską. Zagadała lichą francuzczyzną. Na co Ludomiła odpowiedziała po niemiecku, znająca dobrze ten język, z czego tamta uradowaną była niezmiernie.

Panie wprowadziły ją na salę, gdzie zastawiony

Digitized by Google

czekał podwieczorek. Oczywiście, że przedewszystkiem z ulubioną spotkała się kawą. Była jej jednakże za mocna, więc tylko trzy filiżanki wypiła. Chleb znalazła *köstlich*, a masło *ganz vortrefflich*. Poczem dopiero ciastka, poziomki, truskawki i t. d., *wahre Delicatessen* były.

Nadszedł proboszcz i także nieco giermańskim potrafił wysłowić się narzeczem, co pannie Klinke znowu wielką sprawiało przyjemność.

Opowiadała o Dreznie, o doktorze * — którego nadzwyczaj wysoko ceniła — o podróży swojej i różnych drobnych przypadkach. A była mowną i ożywioną bardzo.

Ludomiła wskazała jej pokój z gabinetem na piętrze — dopóki nowa ochronka nie stanie.

Pałac i ogród znalazła *wunderschön und fürstlich*.

Chciała zaraz pobiedz ochronkę zobaczyć, ale ją Ludomiła wstrzymała, jako po podróży znużoną.

Dnia następnego panna Klinke już o godzinie piątej była na nogach. Przypasała fartuch płócienny w prążki, z wysoko zachodzącym napierśnikiem, i wzięła się chętnie do uporządkowania rzeczy swoich — w szuflady — w szafy i t. p. — Na komodzie ustawiła swoje *Kästchen* i *Körbchen* i buteleczkę z prawdziwą wodą kolońską — przyczem śpiewała wesoło różne, przeróżne piosenki, jak gdyby w Runowie od dawien dawna wdomowioną była. Znać jej podobało się wszystko.

Przyniesiono jej kawę. A potem włożyła szary kapelusz, wciągnęła bawełniane rękawiczki — ale mniej świeże od wczorajszych — i zeszła na dół.

Przed pałacem spotkała Łukasza, który jeżdżąc

Digitized by Google

z państwem za granicę, nauczył się był szprechać nieco, jak się wyrażał — i poprosiła go, ażeby ją do ochronki zaprowadził.

Łukasz uczynił to bardzo chętnie.

Przed czworakami dwie stare kobiety siedziały — kandydatki szpitalowe: jedna kulawa, druga jednooka — i darły pierze.

Panna Klinke przybiegła do nich, zagadała, uśmiechała się, i po zmarszczonych głaskała je twarzach. Wbiegła do izby, gdzie kilkoro dzieci pełzało, pod dozorem także niemłodej już wiejskiej kobiety — którą powitała uściskiem. Poczem zawołała:

— *Ach, die allerliebsten Bälger!* — brała dzieci na ręce, zagadywała do nich, śpiewała im — i tańczyła z niemi.

Kazała przynieść wody, umyła im twarzyczki, rączki, nóżki — całowała je, pieściła i bawiła się niemi.

Łukasz stał obok, patrzył i uśmiechał się.

Nadeszła żona nauczyciela, pani Wtorkowa — która czas dłuższy zostawała w Kaliskiem na granicy W. księstwa Poznańskiego, i niemieckiego języka nauczyła się nieźle.

Panna Klinke aż zdumiała, że tyle cywilizacji znajduje w Polsce, i od chwili do chwili o kraju tym coraz lepszego nabierała wyobrażenia. Wieś była dobrze wybudowana, widziała wszędzie ład, porządek... a dotąd nigdzie jeszcze *polnische Wirthschaft* dopatrzeć się nie mogła. Przybyła tem uprzedzeniem na wskróś przejęta — i zrezygnowana na wszystko dla pensji stu

Digitized by Google

pięćdziesięciu talarów rocznie. Zatem wszystko dla niej nader przyjemną, szczęśliwą było niespodzianką — począwszy od pięknego pałacu, a skończywszy na *allerliebste Bälger* w zaimprowizowanej czasowo ochronce.

Około godziny dziesiątej nadeszła Ludomiła, i miły uśmiech przemknął po jej licu, gdy poczciwą Berthę zobaczyła tak od razu dziećmi zajętą.

Obeszły wszędzie pospołu. Ochroniarka swoje podawała plany — które dziedziczka wszystkie jako dobre uznała.

Panna Klinke była rozkoszną, wesołą. I obiedwie po długim dopiero czasie do pałacu wróciły.

Ludomiła zapytała z współczuciem, czyli jej w obcym kraju tęskno nie będzie.

— *Gott behüte!* — odrzekła — *darüber bin ich längst hinweg!* Kto ma zajęcie, a ja pokochałam swoje, to i nie ma czasu do tęsknoty.

Ludomiła tego usposobienia czyli wyrozumowania zazdrościła jej niemal.

Poczciwa Bertha opowiadała, jak to ona *leidenschaftlich* lubi oprzątać dzieci, myć je, czesać i kąpać *die kleinen Bälger*. Jak ją szczebiot ich zajmuje i rozwijające się z dniem każdym władze umysłowe i pojęcia.

— Prawda, prawda! — zawołała młoda dziedziczka i byłaby ją uścisnąć chciała.

— Starczy mi to za wszelki *Zeitvertreib*.

— Rozumiem bardzo — Ludomiła ciche stłumiła westchnienie.

— A gdy siedzę przy chorym, przy ciężko chorym,

Digitized by Google

to podawania lekarstwa, orzeźwiającego napoju, czuwanie nad nim i niesienie ulgi prawdziwą staje się dla mnie rozkoszą. I też nie pragnę wyższej — mdławe jej oczy zabłysnęły gdy to wymówiła, i aż ładną była w tej chwili.

Ludomiły serce zadrgnęło silniej. Nagłym ruchem objęła ją za szyję i w czoło pocałowała.

— *Mein Gott* — wymówiła Bertha, ściskając jej rękę z wdzięcznem za to uznanie uczuciem. — Przecież to jest rzecz naturalna zupełnie. Od lat dwunastu wieku mojego wprawiano mnie do posługi przy chorych. Byłam brzydką i ubogą... a jeszcze i sierotą. Brat mój jest w jednym z domów handlowych w Filadelfii. Siostra poszła za Szweda. Zostałam więc sama jedna... A dziś czuję się szczęśliwą. — Pani masz pewnie i książki niemieckie, to w święto poproszę czasem o jaką.

— Mam Szyllera, Goethego, poezje Heine'go...

— *Ach, mein Gott!* — klasnęła w dłonie — *welche Wonne!* Anim przypuszczała, że tutaj spotkam się z naszymi *Dichter-Fürsten.*

— Znajdą się jeszcze i inne dzieła niemieckie, jak na przykład *Victoria Accoromba* Tieck'a...

— O tej słyszałam tylko. Bom zawsze i nie wiele czasu miała do czytania.

— Mam i dramata Gutzkow'a.

— *Ach, das weisse Blatt!* — zawołała rozradowana — *das ist wunderhübsch! reizend!*

Po objedzie pokazała jej Ludomiła aptekę. Przejrzała wszystko i oświadczyła, że zaraz wynotuje co tam

Digitized by Google

jeszcze jest potrzebnem niezbędnie, i że zajmie się sama zbieraniem kwięcia brzozowego, lipowego i t. p.

Potem pobiegła do ochronki i w ciągłym zostawała ruchu.

Nazajutrz wykąpała dzieci. I we wszystkiem, z najlepszym w świecie humorem i śpiewką na ustach, ścisłego przestrzegała porządku.

Nie ubiegło tygodnia, a już niemal całą wieś znała i poczęła polskich uczyć się wyrazów. Nauczycielowa Wtorkowa — którą Ludomiła za to nagradzała sowicie — była jej tłumaczką.

Dzieci polubiły ją bardzo.

Digitized by Google

8

XVIII.

Na zimę stanął budynek ochronkowy i szpitalny. Panna Klinke z nieustającą nigdy pracą i trudem urządziła wszystko nader umiejętnie i z troskliwem zastosowaniem do potrzeb wszelkich. Zajęła tamże sama pokoik wygodny — i była niby istną królową w tem małem dobroczynnem państwie.

Ludomiła przywiązała się do niej i po całych godzinach siadywała w ochronce. A Bertha przychodziła zawsze na objady i wieczory całe w pałacu spędzała. Umiała przeróżne ręczne robótki — chociaż dzisiaj ręka jej spracowana delikatniejszym nie podołała już wykonaniom. Ludomiła jednakże niejednego nauczyła się od niej.

Dnia jednego mówiły o pięknych robotach klasztornych, i Ludomiła pokazała jej ów szkaplerz w kapsułce, zrobiony ręką krewnej, liczącej blisko lat ośmdziesiąt.

Bertha unosiła się nad nim, przyjrzała się robocie

Digitized by Google

z niezmierną uwagą, i aż dłonie z poszanowaniem składała.

Z czasem dowiedziała się i o szczegółach smutnego wypadku, który zwichnął całe szczęście dziedziczki Runowa, i serdeczne oświadczyła jej współczucie.

— *Mein Gott, mein Gott!* — powtarzała — mogłabyś pani być bardzo szczęśliwą, ale wszędzie to djabeł musi *seinen Spuck treiben*. To już taka dola na ziemi! Więc i lepiej być samą, pokochać zatrudnienie swoje i pracę, a nie pytać o świat i ludzi. *Ich scheere mich um Niemanden* — dodała sentencjonalnie — i z tem jestem szczęśliwą.

O Arnoldzie żadnej a żadnej wieści nie było.

Ludomiła zrezygnowała już niemal całkiem, i przejmowała się coraz więcej nauką Berthy, przeświadczona, że ona wielką ma słuszność.

Rezygnacja jednakże: zaparcie się samej siebie, uczuć swoich, pragnień, marzeń ukochanych — i pożegnanie ich na zawsze, łacno podjęte w szlachetnej duszy, w poetyckim zamyśle — trudną jednakże staje się walką, bo któż myśli i sercu rozkazać potrafi, gdy niemal każda chwila dawna nieci wspomnienie? Dźwięczy, jakby echo znanego głosu w poszmerze powiewu — nutą piosnki rozrzewnia — lśni w gwiazdkach — mknie w obłokach — i niby wraz z wonią każdego wieje kwiatka!

Tyle jednakże młoda dziedziczka Runowa wymogła na sobie, że najzupełniejszy przedstawiała spokój w powierzchowności całej, w każdem słowie i czynie. Żyła

Digitized by Google

tylko dla otoczenia swojego i myślała jedynie o tem, jakby dla wszystkich w koło pomyślność stworzyć.

Poczciwa Bertha była dla niej *mit der grössten Bewunderung.*

Dnia jednego, w kwietniu, około południa, zajechał koczyk przed pałac i wysiadła z niego młoda, wysokiego wzrostu kobieta: przystojna, rysów dość regularnych — z ogromnemi z tyłu głowy warkoczami ciemno-płowego koloru; w sukni *à la Bismark* — w kapelusiku *à la Bismark*, z takimże piórem i gazową zasłoną; w beduinie pąsowej z szlakiem czarno-białym; w rękawiczkach popielatych o trzech guzikach.

Panią Garbowskę i Ludomiłę zdziwiła ta wizyta. Ostatnia posunęła się ku drzwiom, gdy je właśnie Łukasz otworzył i nieznajoma weszła dama.

W kilku wyrazach — dobrą francuzczyzną lubo z akcentem niemieckim — wypowiedziała: że się nazywa Elsbeth Treuberg, od dwóch miesięcy jest guwernantką dzieci pani Żaba w Romanowicach, posłyszała o swojej *Landmännin* pannie Klinke i przybyła ją odwiedzić.

Ludomiła odpowiedziała jej nader uprzejmie. Prosiła, by zdjęła beduinę i kapelusz. Kazała podać śniadanie i po pannę Klinke posłała.

Zajęta jednakże w ochronce Bertha, dopiero w pół godziny nadeszła — bo za nic w świecie nie byłaby odstąpiła swego obowiązku.

Współrodaczki powitały się podaniem ręki. Berthy maślankowe oczy wdzięcznie połysnęły i uśmiechała się

Digitized by Google

przyjazno. Panna Treuberg przedstawiła się jako osoba należąca do świata inteligencji wyższej i nieco z góry na wszystko patrzyła.

Poczęły rozmawiać. Bertha, wedle zwyczaju, prawiła dużo. Panna Treuberg zapytywała ją wiele, rzucając często frazesy książkowe niby. Po godzinnej wizycie podniosła się, podjęła kapelusik, chcąc już odjechać.

— Konie wyłożyć kazałam — odpowiedziała jej uprzejmie pani domu — zatrzymuję panią na objad i na dnia resztę. Współrodaczki powinny przecie nacieszyć się z sobą.

— *Aber mein Gott!* — odpowiedziała jakby zaambarasowana — miała to być jedynie *eine Staatsvisite.*

Wyjaśniono jej zatem, że w Polsce, na wsi, żadna *Staatsvisite* nie ma miejsca, i nikogo w objadowej godzinie bez objadu puszczać nie zwykli.

Współrodaczka Berthy wdzięcznie to oświadczenie przyjęła — i poprosiła o robotę jaką, gdyż swojej nie zabrała z sobą, przypuszczając, że tutaj tylko *ein Stündchen* zabawi.

Ludomiła podała jej z koszyka do zapełnienia szlak krzyżową robotą.

Rozmowa szła żwawo, przechodziła z jednego przedmiotu na drugi i obszerne przybrała rozmiary.

Panna Treuberg mówiła dużo — i znać z wiedzą swoją wszechstronną popisywać się lubiła. Zaczęła nasamprzód o muzyce — dowodząc znajomość rzeczy, pojęcia i smaku — polskiej jednakże nie znała bynajmniej. Wiedziała wprawdzie, że Polacy ładne mają piosenki — *polnische Lieder* — lecz o polskich utworach

Digitized by Google

muzycznych ani zasłyszała. Szopen był dla niej Francuzem. A zdumiała się po prostu, gdy ją Ludomiła przekonywała, jak różnorodną, charakterystyczną i piękną jest muzyka polska — jak obfitemi i bogatemi jej zasoby.

Przeszła następnie do malarstwa, jawiąc także dość obszerną tej sztuki świadomość. Nic wszelako nie wiedziała, że są jacy Polacy malarze. Grotgera miała za Niemca, pannę Bauman za Niemkę, Matejkę za Czecha — boć i niepodobna, by nazwisko jego można było brać za niemieckie.

Ludomiła objaśniła ją we wszystkiem... i że panna Bauman, której obrazy na wystawach podziwiano wszystkich, którą do najpierwszych zaliczają malarzy, jest Polką i Warszawianką...

— *Une polonaise* — zdziwiła się Niemka.

— Poszła za Duńczyka, rzeźbiarza Jerycho, mieszka w Kopenhadze, ale mimo to Polką być nie przestała.

Panna Treuberg usta przygryzła.

Poczem Ludomiła wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do drugiego salonu, w którym dużo pięknych wisiało obrazów — i pokazała jej dzieła polskich mistrzów.

Panna Treuberg aż umilkła, pokręciła głową... A potem jakieś niby krytyczne poczęła robić uwagi — ogólnikowe — dające się zastosować wszędzie — frazesowe — ale zawsze jakoby pewnem znawstwem trącące.

Ludomiła zacięła zęby i przykre stłumiła uczucie — draśnięta wyraźnem nieuznaniem i niechęcią Niemki dla utworów polskich.

Digitized by Google

Byłaby zapewne, posłyszawszy, że panna Bauman jest Polką, i tę znakomitość poniżyć chciała — ale pisma berlińskie dały geniuszowi jej najwyższą sankcję, więc i zamilknąć było potrzeba.

Przy objedzie wszczęła się rozmowa o stosunkach krajowych.

I panna Treuberg — uznając srogie poniekąd postępowanie rządu, jako liberalnych zasad niewiasta — pojąć nie mogła patrjotycznych poświęceń Polaków dla jednego wyłącznie kraju.

— Jest to piękne w poezji, ale dziś już przestarzałe — wyrzekła — i przypomina poemat Szyllera: *Die Götter Griechenlands*. Oddanie miłości swojej jedynie tylko ojczyźnie, dowodzi zawsze tylko ograniczonego uczucia, jednostronności, bez wyższej idei, bośmy ludzkość całą umiłować powinni! Patrjotyzm jest czemś specjalnem li-tylko, *eine Engherzigkeit*, niezgoda z wielką zasadą humanitarną.

— Czyliż pani, jako Niemka, swojej nie kochasz ojczyzny?

— Kocham ludzkość całą. Jestem dumna z imienia Niemki, bo *mein Vaterland ist gross*, bo u nas jest prawdziwa cywilizacja, kultura wielka, postęp, miłość pracy, i Niemcy przewodnim są narodem.

— I czylibyś pani dla swojej niemieckiej ojczyzny także ofiary nie poniosła chętnie?

— Po co? Jestem szczęśliwa, że ojczyzny mojej nie potrzebuję kochać o tyle, bym dla niej poświęcać się miała.

Ludomiła w całem zadrgnęła wnętrzu i zapytała:

Digitized by Google

— Pani rodziłaś się w Prusiech?

— W Marchii Brandeburgskiej.

— I czyliż nie przez patrjotyzm pruski nosisz pani portret ministra Bismarka w tej broszce oprawny?

— Jest-to *ein grosser Staatsmann* i cenię go jako wielki rozum dyplomatyczny. Bo wielkość każdą uszanować potrzeba. Mężowie wielkiego rozumu i zręczności wielkiej stają się panami sytuacji; i przed takiemi biję czołem.

Przeszła na pole dziennikarskie — a potem i literackie. Zaczęła od poezji: liryka była dla niej kwiatem *ohne Inhalt* — i tylko jeden *epos* do jej duszy przemawiał, tak samo jak dramat. Wreszcie zakończyła filozofją — i posypały się nazwiska: Hegel — Bruno Bauer — Strauss — Schelling — Marheineke — Moleschott i t. d. — Z każdego coś przytoczyła, frazes jakiś, widocznie w myśli zaimponowania.

Ludomiła zaledwo nazwiska te znała — i słuchała w milczeniu — ale z pewną ironją w duszy, mimo całej dobroci i pobłażliwości.

W tym czasie Bertha szyła koszulki dla dwóch sierót ochronkowych — niemających rodziców — które dziedziczka Runowa pod swoje przygarnęła skrzydła. A były z sąsiedniego miasteczka — i zostawały w nędzy przewielkiej. Poczciwa zatem ochroniarka zaraz zajęła się niemi — i w chwili powyższej filozoficznej rozprawy zapewne o nich tylko myślała.

Na drugim końcu salonu pani Garbowska przeglądała dzienniki — ale z nudów drzemała nad niemi.

Digitized by Google

Po chwili panna Klinke powstała, złożyła robotę do koszyka i wyjęła z kieszeni rękawiczki bawełniane: obowiązek powoływał ją do ochronki i żadna w świecie wizyta nie byłaby jej wstrzymała dłużej.

Ludomiła nadmieniła, ażeby przynajmniej nieco rychlej wróciła.

Bertha uśmiechnęła się tylko — i można było naprzód odgadnąć, że tego nie zrobi.

Po jej odejściu panna Treuberg pociągnęła dalej swoją uczoną na każdem polu rozprawę.

Ludomiła mówiła jej nawzajem o pisarzach naszych, o znakomitych płodach literatury polskiej.

Panna Treuberg słuchała wprawdzie, ale... jakby z niedowierzaniem, co aż bolesnem było.

— Że też nic o nas nie wiecie, nic o inteligencji naszej! — zawołała Ludomiła do żywego dotknięta.

— Znamy przecie wszystko co jest znakomitem.

— Wiem, że uczeni wasi znają historję i stan kraju naszego, ależ to tylko wyjątki: ogół prawie nic o nas nie wie.

— U nas ogół jest oświeconym: zna cywilizację i kulturę.

— Głównie własną... My jednakże staramy się poznać literatury obce, zatem i niemiecką.

— Bo też jest pierwszą! Lecz nie wiele tu osób zna język niemiecki o tyle, by literaturę naszą poznać mogły.

— Czytają tłumaczenia polskie.

— Jakto! Więc są tłumaczenia polskie Szyllera, Goethego?...

Digitized by Google

Ludomiła zaśmiała się i wymieniła kilkunastu tłumaczów.

— Ach? — zdziwiła się panna Elsbeth, kręcąc głową, znać przypuszczała znowu, że to są chyba tylko *Machwerke* jakieś. — I Szekspira Polacy tłumaczą także?

— Tłumaczą.

— *Ist das möglich*!... I *Hamleta* także?

— *Hamleta* parę tłumaczeń istnieje.

— Tego nie byłabym sądziła.

— I to właśnie jest złem wielkiem i niesprawiedliwością, że nas nie znacie i poznać nie chcecie.

— *Ideały* Szyllera także są tłumaczone? — zapytała jeszcze.

— Wiele razy! A przekłady są piękne.

— I *Rezygnacja?*

— *Rezygnację* także wiele tłumaczono razy.

— *Est-il possible*!..

Nadszedł proboszcz i przerwał niemiłą dla Ludomiły rozmowę. Była pod względem narodowości swojej łatwo podrażnioną. Kaleczyła ją niesprawiedliwość wymierzana jej właśnie przez onę cywilizacją ciągle a ciągle. Szermierki słów nie lubiła, dyskutywną nie była nigdy... a tem mniej teraz.

Proboszcz łamał język w obec gościa germańskiego o ile mógł.

Na podwieczorek Bertha wróciła. A potem wyszły obiedwie i długo po ogrodzie chodziły.

Po herbacie panna Treuberg odjechała. A Bertha, kręcąc głową, wyrzekła:

Digitized by Google

— Była to bardzo miła wizyta. Panna Treuberg jest osoba uczona, oczytana i oswojona z najmędrszemi książkami. Dobra, że mnie odwiedziła. Ale różnimy się całkiem: *bis in die Pappen*! Pozostawia mnie ona daleko, daleko za sobą.

— Panna Klinke winna ją także odwiedzić w Romanowicach — zauważała Ludomiła — i skoro tylko zechce, to powóz i konie będą na usługi.

— *Ach nein, meine Gnädige!* — odrzekła z właściwym sobie dobrodusznym wyrazem. — Ochronka potrzebuje mnie więcej, aniżeli panna Treuberg. Byłyby to godziny stracone napróżno... i szyszuntka moje tesknisz — śmiejąc się, dodała po polsku.

Za co ją Ludomiła uścisnęła.

Digitized by Google

XIX.

Dzienniki zagraniczne przynosiły wieści i poglądy wojenne, a powtarzały je krajowe z uwagami różnemi. Ogół nie dowierzał jednakże, by istotnie do wojny przyjść miało. Wypowiedzenie jej zatem przez Francję, jakoby piorunem raziło wszystkich. Boć i przewidywać nie było trudno, że wojna Francji z Prusami wielkie przyjąć może rozmiary.

Wiadomość o zwycięztwie pruskiem pod Saarbrück wiary w powszechności nie znalazła. Krwawe i straszne pobicie armii francuzkiej pod Weissenburgiem i Woerth, 4. i 6. sierpnia 1870 roku zachwiało wprawdzie nieco tę wielką ufność w niepokonaną potęgę Francji — ogół jednakże sprawozdaniom nie dowierzał pruskim. A na Wiedeń przychodziły łudzące — i fałszywe wieści.

Ludomiła od pierwszego zaraz miesiąca przybycia panny Klinke do Runowa, prenumerowała dla niej *Breslauer Zeitung*, ażeby przecie wiedziała co w jej

Digitized by Google

dzieje się kraju. Miały więc dość dokładne wiadomości o wszystkiem. Po polskiej jednakże stronie i *Breslauer Zeitung* z niedowierzaniem czytano — a Niemka aż zdumiała. Z wielkiem zawsze o sile i bohaterstwie oręża pruskiego mniemaniu, lękała się dlań jednakże zwycięzkiej przewagi Francji. Bo i listy, które odbierała od ciotki — żony profesora przy gimnazjum w * — tę trwogę dość powszechną jawiły.

W dni kilka po rozgłoszeniu rozlicznemi telegramami, a wreszcie i obszernem sprawozdaniu o wielkiem zwycięztwie króla Wilhelma pod Weissenburgiem i i Woerth, przybyła panna Treuberg do Runowa.

Ludomiła i Bertha szły właśnie na podwieczorek z ochronki do pałacu, gdy wysiadała z powozu.

— Francuzi zostali pod Gravelotte na głowę pobici! — wołała już z daleka, wiewając którąś z gazet berlińskich.

Bertha jej oświadczyła, że czytuje *Breslauer Zeitung*.

— To i kiedyż wyjeżdżasz? — zapytała, wchodząc z nią do pałacu.

— Ja nie wyjeżdżam — odrzekła Bertha.

— Jakto! nie spieszysz do lazaretów polnych? Tam dzisiaj twoje jest miejsce, a nie tutaj, w nieprzyjaznej nam Polsce. Dopóki inna nie nastręczała się pozycja, to mogłaś z tutejszej korzystać i swoje usługi *verwerthen*. Dziś jednakże powinnaś tę swoją *dumme* ochronkę polską i szpitalne baby polskie porzucić — dodała pogardliwie.

Bertha nie wiedziała co jej odpowiedzieć.

— Winnaś bez zwłoki wyjechać — mówiła tamta

Digitized by Google

dalej, zrzucając beduinę pąsową. — Wynagrodzenie będzie sowite. Rząd dobrze zapłaci.

— *Ja wohl, ganz gewiss!* — zastanowiła się Bertha.

— I królowa Augusta zapewne postanowi jaki order kobiecy.

— *Ach ja!*

— Będziesz w skutek zasług, jako przełożona lazaretu, i przyszłość swoją miała zapewnioną.

— I tylu tam rannych, ciężko rannych i chorych! — poszepnęła Bertha, składając dłonie. — *Mein guter Gott!* Potrzebują troskliwego opatrzenia, pielęgnowania... A brak tam zapewne rąk niosących pomoc i ulgę... Pojadę z tobą.

— Otóż i słowo! Wyjedziemy razem.

Panna Treuberg usiadła przy fortepianie i zagrała *Die Wacht am Rhein*, którą jej przyjaciółka nadesłała z Berlina.

Ludomiła wsparła się o fortepian, słuchała z zajęciem — a potem wymówiła:

— Otóż i w sercu pani teraz się także patrjotyzm odezwał.

— Patrjotyzm? — powtórzyła. — *Nein! Patriotismuss ist Unsinn!* Dzięki Bogu, nie jestem tak *engherzig*. Bo mam w duszy ludzkość całą i jej dobro. A pragnę jedności wielkich Niemiec i zwycięztwa niemieckiego w celach prawdziwie humanitarnych, wielkich, bo cywilizacji i kultury ogólnej. Jedność niemiecka da ludom szczęśliwość i oświatę. Zwycięztwo po stronie Niemców i granice jak najwięcej rozszerzone, ustalą

Digitized by Google

pokój, dobrobyt, i poniosą rozwój kultury i cywilizacji szeroko, daleko, *so weit die deutsche Zunge klingt.*

I znowu *Die Wacht am Rhein* zagrała.

Ludomiła słuchała tej melodji z uznaniem — z uszanowaniem pewnem. Jako Polka, ojczyznę kochająca swoją, zrozumiała podniecone uczucie niemieckie, miała sympatję z rozbudzonym patrjotyzmem, oceniła sprawiedliwie egzaltowaną nawet dumę narodową w skutek odniesionych zwycięztw — ale panny Treuberg pojąć nie mogła, i tych jej widocznie na zimno rozumowań o wielkich celach dla ogółu ludzkości.

Bertha, bo na chwilę aż głowę straciła, posłuchawszy tych jej wielkich frazesów, pobiegła do ochronki, całowała dzieci, ściskała baby szpitalne — i za pomocą Wtorkowej oznajmiła wszystkim, że jedzie do lazaretów pruskich, bo tam jej pomoc jest potrzebną.

— Szyszontka tesknisz, babki tesknisz — powtarzała jakby rozgorączkowana — i Bertha tesknisz, *aber ich werde zurückkehren.*

Panna Treuberg wcześnie odjechała, i umówiła się z Berthą, że dnia czwartego zjadą się na dworcu kolei żelaznej, by razem do Berlina pojechać, a ztamtąd do którego z lazaretów, według rozporządzenia zwierzchności.

— Nie byłabym nigdy sądziła, że *die elegante Elsbeth* do lazaretu podąży — wymówiła Bertha patrząc się za powozem, który współrodaczkę uwoził.

— A czy podoła? — wtrąciła Ludomiła.

— *Man kann Alles was man will!* — odrzekła Bertha.

A Ludomiła z całego przytaknęła jej serca.

Digitized by Google

— Będzie p e r o r o w a ł a, ale nic nie zbuduje — ozwała się z cicha pani Garbowska — a jeszcze i nienawistnie o Polsce i Polakach pogada.

Ludomiła przyznać musiała, że ciocieńka tym razem zapewne z przenikliwą ozwała się prawdą.

Bertha w tych ostatnich chwilach pobytu w Runowie, nadzwyczaj czynną jeszcze była. Uporządkowała bieliznę sierót i dla chorych przeznaczoną, i oddała pod rachunkiem Wtorkowej — jako też i spis sprzętów wszystkich, aż do najmniejszego garnuszka. Aptekę w ładzie wzorowym przekazała samejże pani. Ułożyła swoje manatki — a potem wieś całą żegnała, powtarzając ciągle, że zaraz po wojnie powróci.

Prosiła, by jej proboszcz pobłogosławił. Uściskała po kilkakroć Ludomiłę, panią Garbowską — i wszystkich w całym domu. Raz jeszcze od powozu wróciła, by *die liebe Gnädige* w obadwa pocałować policzki — i powtarzając: *Zum Wiedersehen*! do powozu wsiadła — z uśmiechem na ustach — bez jednej łzy w oku. Bo zawsze twierdziła, że od płaczu wstrzymać się potrzeba.

Ludomiła jednakże zapłakała po niej — i wszędzie jej poczciwej brakowało Berthy.

Sama teraz zarząd objęła ochronki, a panią Wtorkową zastępczynią mianowała swoją. Chodziła tam po razy kilka na dzień i za przykładem Berthy, dzieci przy sobie kąpać kazała.

W dni dziesięć potem list nadszedł z Berlina, w którym jej panna Klinke donosiła, że jedzie do lazaretu w *, blisko granicy francuzkiej, i że panna Treu-

Digitized by Google

berg pozostaje w Berlinie — oddana wyższym celom i działaniom ku ogólnemu dobru ludzkości całej.

Pan Józef parsknął śmiechem, gdy mu list ten przetłumaczyła — a potem wyrzekła:

— Poczciwa Klinke!

Niezadługo potem dowiedzieli się o zjadliwym artykule, umieszczonym w jednej z gazet niemieckich, w którym wyszydzano patrjotyzm polski, mrzonki polskie, konserwatyzm wsteczny i fałszywy kierunek mniemanej inteligencji polskiej. Wszyscy byli przekonani, że wypłynął z pod pióra panny Treuberg, albo przynajmniej z jej natchnienia, bo zawierał pod tym względem niektóre nieomylne wskazówki.

Straszliwa — najstraszliwsza dla Francji katastrofa pod Sedan dnia 2. września, dopiero w części przekonała, że Francja, ono piękne, wielkie cesarstwo, do ostatecznego dąży upadku... Mac-Mahon z całą wielką musiał poddać się armją. Napoleon III. złożył szpadę w ręce króla Wilhelma — i został jeńcem na Wilhelmshöhe.

Zaprawdę, że przed niewielu jeszcze miesiącami, byłoby coś podobnego uważane jako niepodobieństwo!... W naszem jednak stuleciu niejedno niepodobieństwo przemienia się w rzeczywistość... Zatem i nie jedną piękną nadzieją natchnąć powinno, że rzeczy dziś niepodobne — jutro sprawdzić się mogą.

W połowie września znowu był list krótki od Berthy: była zdrową, wytrwałą na wszystko — ale pracy miała wiele, o bardzo wiele, że i chwilkę wy-

Digitized by Google

tchnienia trudno znaleźć było. Ciężko rannych ciągle przywożono dużo — i strasznie rannych. A czuła się szczęśliwą, że im ulgę nieść mogła.

O pannie Treuberg była wiadomość, że w Berlinie zajmowała się bardzo gorliwie francuzkiemi jeńcami.

— Niechaj jej Bóg za to płaci! — wymówiła Ludomiła. — A jest-to i poświęceniem poniekąd, bo wiemy, że tam i prześladują za okazywanie sympatji nieszczęśliwym jeńcom.

Obecny pan Józef uśmiechnął się z ironją, ale nic nie wyrzekł.

KOŁO MANDOLINISTÓW POLSKICH
"LIRA"
W DETROIT, MICH.

Digitized by Google

XX.

21. stycznia 1871 roku żałobna Polska straciła jednego ze swoich najdzielniejszych, najszlachetniejszych synów: w bitwie pod Dijon poległ bohatersko jenerał Józef Hauke-Bosak, w sprawie Francji — wywdzięczając się krwią swoją za opiekę, której udzielała nieszczęsnemu wychodźtwu polskiemu.

Do lazaretu w * przywieziono między innemi i kilku jeńców francuzkich, których dalej powieść nie mogli.

Panna Klinke, mająca główny zarząd, starała się umieścić ich jak najwygodniej.

Młody człowiek, blady nadzwyczaj, z przestrzelonem ramieniem, jej szczególną obudził sympatję, pospieszyła więc gorliwie, ażeby mu nieść ulgę. Był z pod Dijon. Mocny ciemny zarost wychudłe cienił mu lica, oczy miał zapadłe, przygasłe. Przebiegał go dreszcz bolu, trawiła gorączka — lecz milczał.

Digitized by Google

Bertha chłodzący podała mu napój i przystąpiła do opatrzenia rany.

Gdy odchylił koszulę, spostrzegła, że nosił na szyi złotą kapsułkę... znaną jej dobrze. Pochyliła się i mimowolnie zawołała:

— *Mon Dieu*!... *Mademoiselle Ludmilla*!... *Runowo*!...

Ranny zadrgnął. Głowa jego bezsilnie na poduszkę opadła.

Otrzeźwiła go eterem. Spojrzał się na nią tak dziwnie — z takim smutkiem i boleścią. Chciał niby zapytać... — poruszyły się usta — zamilkł znowu — i wzrok od niej odwrócił.

Opatrzyła ramię — z troskliwością nieokreśloną. Cierpiał — ale i razu nie syknął. Pobladł tylko trupio — a wargi jego zaciśnięte były sine, jakby martwe.

— Pozwól mi pan ten szkaplerz zobaczyć — prosiła Bertha następnie.

Ranny podał jej złotą kapsułkę.

Otworzyła wieczko...

— Ach! — zawołała. — To samo!... *Mon Dieu*!... Byłam w Runowie i widziałam ten drugi szkaplerz.

Ranny dłonią oczy zacisnął.

— Byłam przy pannie Ludomile. Kocham ją! Jakże ona dobra i szlachetna!

Ranny milczał ciągle — a pierś jego wznosiła się konwulsyjnie.

— Byłam w Runowie przeszło rok cały... *Vous etes monsieur Arnold*!... — poszepnęła, pochylona ku niemu.

Zatrząsł się, jakby w febrze.

Digitized by Google

— *Mademoiselle Ludmilla vous aime?* — cichym wymówiła poszeptem.

— *Mademoiselle?* — powtórzył głucho, złamanym głosem — wszakże za mąż poszła!

— *Dieu presèrve*!... Jest wolną! — odszepnęła. — Wiem wszystko!... Był podstęp, zdrada.... Myślała, że to pan Arnold... Małżeństwo natychmiast unieważnionem zostało.

Głowa rannego na poduszkę obwisła. Twarz chustką przysłonił.

Bertha przy nim pozostała przez chwilę. Potem usunęła się zcicha, zostawiając go samemu sobie, i do innych podążyła chorych.

Następnie pierwszą wolną uchwyciła chwilę, by do Ludomiły napisać i o swojem donieść jej odkryciu, to jest: o pobyciu rannego Arnolda Drogomirskiego w lazarecie *. Po wyprawieniu listu do rannego wróciła.

Drzemał właśnie wycieńczony cierpieniem. Przesiedziała przy nim większą część nocy. Miał gorączkę i majaczył. Tędy owędy jakieś polskie pochwyciła słowo. Ale rzucał i francuzkie wyrazy... porywał się — i zachęcał współtowarzyszów do walki.

Poczciwa Bertha całą swoją najczulszą poświęciła mu troskliwość.

We dwa tygodnie później oznajmiono pannie Klinke dnia jednego, że pan jakiś przybył, mówiący tylko po francuzku, i chce widzieć się z nim.

Dokończywszy sumiennie zajęcia, jakiemu oddawała się właśnie, wyszła na spotkanie obcego.

Digitized by Google

— Ach! — zawołała radośnie, poznawszy gościa. — *Monsieur Joseph*! *Quel bonheur*! Jakżeś pan dobrze zrobił, żeś przybył!

Twarz jej rozpromieniała i uścisnęła rękę obiema dłońmi. Zdawało się, że przepełniona radością, byłaby jemu chętnie rzuciła się na szyję.

Pan Zrębowski powitał ją serdecznie — i o Arnolda zapytał.

Odpowiedziała, że jemu o wiele jest lepiej. Wstaje dnia każdego na godzinę, i czytać już może.

Pragnął go widzieć.

Poprosiła, ażeby zaczekał i wybiegła. Po chwili wróciła.

— Jest przysposobionym do widzenia pana. Chodź więc...

Wprowadziła go... — i padli sobie w objęcia.

Zrębowski przeraził się widokiem przyjaciela: był wychudzonym, jak kościotrup, sino-blady, z oczami głęboko zapadłemi; w ciemnym zaroście tu i owdzie biały jawił się włosek — wyglądał staro — i drżał z osłabienia.

Pan Józef opowiedział mu w kilku słowach wszystko.

— Panna Ludomiła — dodał — śle tobie wyrazy najtkliwszego współczucia. Serce jej zawsze tylko jednym tobą zajęte było... i pragnie, byś co rychlej powrócił.

Arnold w milczeniu, ze łzawą źrenicą uścisnął mu rękę.

Digitized by Google

— Ale gdzieżeś przebywał, żem się o ciebie wcale dopytać nie mógł? Znać odezwy moje po dziennikach nie dochodziły ciebie.

— Żyłem w Szwajcarji.

— Więc nie byłeś w Ameryce?

— Nigdy!

— A po cóż tak napisałeś?

— Pragnąłem w obec brata i Ludomiły umrzeć cywilnie... na zawsze. Inaczej nie mogłem uczynić.

Zrębowski dowiedział się, że Arnold zamieszkał na wsi, w okolicy Genewy. Czas pierwszy ani się wychylał ze swojego zacisza, i nic o świecie całym wiedzieć nie chciał. Sprowadzał sobie książki treści naukowej, a dzienników nie czytywał wcale. Później dopiero, potrzebą serca pociągany, zbliżył się do jenerała Bosaka — mieszkającego w Carouge, pod Genewą także — i całą do niego przylgnął duszą.

Gdy więc w czasie wojny francuzko-pruskiej Bosak połączył się z Garibaldim, pospieszył i Arnold za ukochanym jenerałem. Przelewając krew swoją za Francję — dla której już tak wiele, tak bardzo wiele popłynęło krwi polskiej — Arnold dzielił z Bosakiem to przekonanie, że w tej walce zarazem i polskiej, ukochanej usłużą ojczyźnie.

Bosak poległ jako bohater — a przy boku jego padł także i Arnold bez zmysłów, ciężko raniony.

Otóż cała smutna historja!

Zrębowski mało odstępował Arnolda, który od dnia tego nagle do sił i do zdrowia przychodzić zaczął. A mieli sobie tyle do opowiadania!

Digitized by Google

O Zdzisławie jednakże mało, bardzo mało mówili; zbyt wielka dla brata była to boleść.

O pannie Klinke mówił Arnold przyjacielowi z najwyższą wdzięcznością: nazywał ją nieocenioną i prawdziwie opiekunką anielską.

Znowu dwa tygodnie ubiegły. I wielkie, rozległe starania Józefa Zrębowskiego dokonały, że mógł Arnolda przewieść do Wiesbadenu. A następnie — po zawarciu pokoju — za pośrednictwem osób postawionych wyżej — i za miłego grosza pomocą — przewiózł go i do kraju.

Któż opisze szczęście narzeczonych, gdy po tylu przejściach bolesnych powitali się znowu w Runowie.

Pani Garbowska niemal głośnym wybuchnęła płaczem, zobaczywszy tak bardzo zmienionego Arnolda.

Żurawin czekał na niego taki sam, jakim go zostawił — a raczej upiększony wiele.

W dzień Matki Boskiej odbył się ślub młodej pary: z rana, na mszy św., w obec pana Tytusa Działowicza, państwa Zrębowskich, ciotki i kilku gospodarzy z dóbr runowskich — skromnie i cicho.

Digitized by Google

W parę tygodni później powróciła i panna Bertha Klinke do Runowa.

Przychudła, ogorzała, więcej piegowata — ale jaśniejąca cała dobrodusznym uśmiechem.

Skakała z radości, uściskawszy Ludomiłę. Rzuciła się także Arnoldowi na szyję i pocałowała go w czoło. Uściskała ciocię, pocałowała w ramię proboszcza — a potem zaraz do ochronki pobiegła, by *die lieben Bälger* ucałować.

Niektóre z dzieci poznały ją i głośnym powitały krzykiem. Babinki całowane, ucałowały ją nawzajem. Pani Wtorkowa, stara Ignacowa będąca przy dzieciach, i z tuzin ze wsi nadbiegłych kobiecin — wszystkie ściskały i całowały się, a niektóre rozpłakały się nawet.

Dopiero przy herbacie opowiedziała Bertha, że panna Treuberg ślub wzięła z jednym z jeńców francuzkich, przystojnym, brodatym *sergeant major* — i

Digitized by Google

już z nim pojechała do Francji. Spotkały się w drodze, na dworcu kolei żelaznej. Nie wiele z sobą mówić mogły. Elsbeth zdołała jej jednak powiedzieć: że wielkie we Francji spełni zadanie, rozszerzając ku ogólnemu dobru ludzkości podniosłe idee humanitarne, cywilizację i kulturę niemiecką.

Niezadługo uderzyła Arnolda wiadomość straszna, że Zdzisław dopuścił się w Wiedniu — w domu bankiera * — jakiegoś czynu haniebnego... I powodowany uczuciem braterskiem, pospieszył na podźwignienie go — co i Ludomiła pochwaliła bardzo.

„Łotr przestaje moim być bratem!“ — mówi wyrozumowanie — a może i słuszność... bo może tylko!...

Bóg jednakże wlał nam w serce i duszę silniejsze po nad wyrozumowanie uczucie: pociąg krwi... choćby nawet i zwierzęcej — który węzłów rodzinnych zerwać nie dozwala. Nie wszystkiemi wprawdzie to spotęgowane włada uczucie — lecz Arnold należał do tych, którzy krzywdę przebaczają i za popędem biegną serca.

Po dwóch tygodniach powrócił.

— A co? A co? — pytała Ludomiła, obejmując go za szyję.

— Już go nie masz w Wiedniu — odrzekł zcicha.

— I dokąd pojechał?

— W świat inny... do Ameryki.

I na tem umilkł.

Digitized by Google

Bliższych szczegółów, ani o przestępstwie winnego, ni też co Arnold dlań uczynił — Ludomiła podobno nie wiedziała nigdy... a może i wiedzieć nie chciała.

Rozdroża moralne z dzieciństwa — rozdroża świata i bytu całego, rozłączyły braci na zawsze: stanęli na dwóch krańcach — i podobno, że już nie zejdą się nigdy.

Zdzisław całkiem przepadł bez wieści.

KONIEC.

Digitized by Google

Digitized by Google